

Juliusz Verne

Wyspa błądząca

Wydawnictwo Biblioteki Powieści Podróżniczych dla Młodzieży Drukarni Braci Wójcikiewicz z
Warszawy w tłumaczeniu E. Korotyńskiej

Rozdział I

17 marca 1859 roku kapitan Craventy urządzał wspaniałe przyjęcie.

Nie był to bal, lecz serdeczne, miłe zespolenie się bliskich mu i znajomych, tych, co darzyli sympatią wyruszające po cenne futra i żądne przygód Towarzystwo Handlowe z kapitanem Craventy na czele.

Pod nadzorem kaprała Żolifa i jego młodej żony forteca zmieniała się nie do poznania. Zamieciono izby, poustawiano ławy drewniane dla gości, ogromne stoły uginały się pod ciężarem naczyń z potrawami, a poza jadalnią, w sąsiednich pokojach porozwieszano wspaniałe futra. Były tam puszyste skóry szarych i białych i niedźwiedzi, również przepyszne bobry, srebrzyste lisy i sobole. Bogactwo wiało z tych ścian obwieszonych skórami zwierząt północy i spoglądano z podziwem na dobór przeróżnych barw i odcieni.

W środku salonu stał olbrzymi piec z żelazną rurą ogrzewającą coraz to nowych przybyszów. A tymczasem na dworze rozpętały się żywioły: huczały przewlekłe groźne wichry, szalała, mrożąca krew w żyłach, śnieżycą.

Pod wpływem tej niepogody drżał dom, poruszały się sprzęty — nie przeszkadzało to jednak ludziom, tutaj zebranych, do zajadania ze smakiem i do prowadzenia wesołej z wybuchami śmiechu rozmowy. Do burz i wichrów, do huraganów i zamieci przyzwyczajeni byli ci odważni, niezwykle zżyci z naturą podróżnicy.

Było ich tu dziewiętnastu, z porucznikiem Hobsonem na czele.

Miedzy stałymi mieszkańcami fortecy znajdowały się dwie kobiety przybyłe z Nowego Jorku w celu odbycia podróży. Jedną z nich, Paulina Barnett, była tu szczególnie szanowana i otaczana opieką.

Sławna podróżniczka, niejedną raz wyróżniana przez towarzystwa geograficzne, była kobietą w średnim wieku, wysokiego wzrostu, o oczach wyrazistych i twarzy nacechowanej niezwykle energią.

Wdowa, od kilkunastu lat, lubowała się w podróżach i nadzwyczajnych przygodach.

Przybyła tu, ku wielkiemu zdziwieniu podróżnych z listem polecającym od dyrektora Towarzystwa i zwróciła się do kapitana Craventy. Kapitan Craventy po przeczytaniu listu oznajmił przybyłej, że wyruszają aż do wybrzeży Morza Północnego, nie wyobraża więc sobie, aby delikatna kobieta zdołała przetrzymać tamtejszy klimat i niewygody.

Odpowiedziała mu, że w obecnej roli nie jest ona słabą i wątłą kobietą, lecz laureatką Towarzystwa i żadne trudy nie zniechęcą jej do projektowanej podróży.

W ten sposób weszła w skład personelu wyruszającego na północ.

Towarzyszka jej Magdalena, zacna i całym sercem oddana powiernica, była na pół służącą na pół przyjaciółką.

Starsza o kilka lat od swej pani przyjęła rolę opiekunki i otaczała ją troskliwością bez granic oraz opieką prawdziwie macierzyńską.

Siedziały obok kapitana, wsłuchując się w wypowiedane przez niego projekty i cele podróży, zachwycone tą wymarzoną przez Paulinę Barnett daleką wycieczką i zatopione całkowicie w myślach o mającym się odbyć na drugi dzień wyjeździe, gdy naraz ciszę przerwał groźny okrzyk, przerażające wołanie o ratunek.

Odskoczono od stołu chcąc biec na czyjś tak bardzo wymowny i rozpaczliwy krzyk, ale kapitan powstrzymał wszystkich w tym zamiarze, wysyłając jedynie sierżanta Longa, aby dowiedział się, kto wzywa ich na ratunek.

Rozdział II

Sierżant Long przybiegłszy do drzwi frontowych, zawołał:

— Kto tam? Kto dobija się o tak spóźnionej porze?

— Otwierać! Proszę otwierać! Idzie o ludzkie życie! Prędeż! Prędeż!

Long otworzył bramę, ale zaledwie drzwi się otworzyły, upadł rzucony gwałtownie na podłogę.

Zdziwiony porwał się z ziemi i spostrzegł sanie zaprzężone w sześć psów, lecące z szalonym impetem przez podwórze. Otworzył dalsze drzwi, dopuszczając do ostatnich, w których stali podróżni, zaciekawieni tym niezwykłym dobijaniem się do fortecy.

Tymczasem z sań wyszedł człowiek, od stóp do głowy przyodziany w futra, zakrywające mu nawet oczy.

— Czy to składnica Zjednoczenia? — spytał.

— Tak jest. — Odparł kapitan.

— Czy mam przed sobą kapitana Craventy?

— Tak. A z kim mam przyjemność?

— Jestem kurierem z Kompanii.

— Czy pan sam przyjechał?

— Nie, przywiozłem podróżnego.

— Podróżnego? Jakież on ma do nas interes?

— Chce zobaczyć księżyc.

— Co? Księżyc?

Kapitanowi przyszło do głowy, iż ma do czynienia z obłąkanym, ale nie było czasu na rozważanie.

Przybyły wyciągnął z sań jakąś nieruchomą bryłę, coś w rodzaju worka pokrytego śniegiem i zabrał się do wnoszenia jej do wewnątrz izby.

— Cóż to za wór? — spytał go kapitan.

— To mój podróżny — odrzekł spokojnie zapytany.

— Któż to taki?

— Astronom, Tomasz Black.

— Ależ on zmarznięty!

— Toteż niosę, żeby go odmrozić...

Złożono nieszczęsnego astronoma w pokoju na pierwszym piętrze, gdzie temperatura była jeszcze możliwa do przetrzymania, z powodu rozpalonego do czerwoności pieca. Zdjęto kalosze i futra ze zmarzniętego, który zdawał się już być martwy i rozpoczęto przywracanie go do życia.

Tomasz Black mógł mieć lat pięćdziesiąt, tęgi, niski, o posiwiałych włosach, oczach i ustach zaciśniętych, jakby były sklezione gumą, nie wydawał ani głosu, ani oddechu, leżąc przed ratującym go, jak nieruchoma bryła.

Kapral Żolif obracał nim na wszystkie strony, tarł, potrząsał i mówił:

— Proszę pana, bardzo pana proszę! Cóż to? Nie myśli pan powrócić do przytomności?

Gdy nawoływania te nie pomogły, porucznik Hobson kazał przynieść śniegu i wspólnymi siłami rozetrzeć pacjenta, na którym ukazujące się białe piętna, świadczyły o ciężkim przemrożeniu i odbierały nadzieję uratowania astronoma.

W pół godziny po zastosowaniu tych środków, Tomasz Black poruszył się nerwowo, co wywołało wybuchy radości u podróżnych zebranych przy łóżku.

— Żyje! Żyje! — zawołał uradowany porucznik.

Rozgrzewano go ponczem, wlewano szklankami, potrząsając nim jednocześnie, aż rumieńce ukazały się na policzkach, oczy rozwarły, a usta poruszyły się powoli.

Zdołał nawet unieść się z lekka i głosem bardzo słabym, zapytać:

— Czy to forteca Zjednoczenia?

— Tak jest — odrzekł kapitan.

— A pan jest kapitanem Craventy?

— Tak, panie. A czy mogę wiedzieć, w jakim celu pan tu przyjechał?

— Aby zobaczyć księżyc! — odpowiedział za niego kurier. Astronom nie zaprzeczył, ale pomijając zapytanie kapitana, badał w dalszym ciągu:

— Czy to porucznik Hobson?

— We własnej osobie! — odpowiedział zapytany.

— Jeszcze pan nie wyjechał?

— Jak pan widzi.

— A więc — odrzekł Tomasz Black — nie pozostaje mi nic innego, jak podziękować panom za ratunek i przespać się do jutra rana.

Kapitan wraz z towarzyszącymi mu osobami odszedł pośpiesznie, pozostawiając tę oryginalną osobę w spokoju.

Nazajutrz, gdy Tomasz Black przyszedł zupełnie do zdrowia, kapitan dowiedział się o nim wszystkiego. Był to słynny astronom z Greenwich, z najlepszego na całym świecie obserwatorium. Studiował on przyrodę od 20 lat, oddając wiedzy wielkie przysługi.

Nie potrafił o niczym rozmawiać, jak tylko o gwiazdach i niebie, poza tym nie obchodziło go nic.

Miało być zaćmienie słońca, a wiadomo, że w takich razach księżyc otoczony jest substancją świetlaną w formie wieńca. Z czego więc składa się owo światło, czy nie jest to tylko złudzenie lub odbicie promieni sąsiednich światel — to zbadać miał Tomasz Black i po to przyjechał.

Przebył Atlantyk, wylądował w Nowym Jorku, przeprowił się przez jeziora rzeki Czerwonej, z fortu do fortu przewożony saniami pod opieką kuriera z Kompanii, pomimo groźnej zimy, pomimo straszliwych mrozów i niebezpieczeństw, aż znalazł się u kapitana Craventy w postaci zlodowaciałej bryły.

Naturalnie przyjęto go entuzjastycznie już jako żywego.

Rozdział III

Rano, 16 kwietnia, dziewiętnastu podróżnych wyruszyło w drogę, kierując się ku północy.

Indianie w tym roku przywieźli bardzo mało futer, okolice te już wytrzebiono, trzeba było założyć gdzie indziej przystań, w miejscach obfitujących w zwierzynę.

Porucznik wybrał sobie najdzielniejszych oficerów i żołnierzy, i zaopatrzywszy się w dużą ilość żywności, napojów, ubrań i sań z psami, z nadzieją, że dobrze powiedzie się jego zamiar i że zadowoli Kompanię, wyruszył ze swym towarzystwem.

Na czele jechał, wspomniany, porucznik Hobson i sierżant, za nimi Paulina Barnett i Magdalena, doskonale kierująca psami długim batem eskimoskim, za nimi Tomasz Black i jeden z żołnierzy, Kanadyjczyk Petersen Kapral Żolif z żoną byli na końcu.

Skierowano się na północny zachód, przeprawiając się przez szeroką rzekę.

Pogoda była prześliczna, ale było jeszcze bardzo mroźno, na szczęście jednak wiatr kierował się w inną stronę.

Wszyscy trzymali się szeregów i jak wyćwiczeni żołnierze, słuchając starszych oficerów, formowali trzy rzędy sań.

Jeden tylko Żolif napiwszy się trochę za dużo przed wyjazdem, był tak niemożliwy, że nawet żony, której zawsze ulegał i którą uwielbiał — nie słuchał. Na próżno wołała na niego, żeby jechał w rzędzie i nie rwał się naprzód, na próżno przemawiała do jego rozsądku, Żolif pędził psy całą mocą eskimoskiego bata aż upadł wraz z przerażoną swoją małżonką na śnieg. Szczęściem skończyło się na strachu, ale porucznik Hobson natarł mu dobrze uszu i ku jego wielkiemu wstydtowi oddano kierowanie saniami jego dzielnej i rozumnej żonie.

Przez piętnaście dni jechano bez wypadku i zajechano wreszcie przed przystań „Przedsiębiorstwo”.

Przystań ta dozorowana przez dwunastu żołnierzy, składała się z jednego drewnianego domu, otoczonego murem. Służyła ona przeważnie za skład futer przywożonych przez kupców i była niezbyt wygodna dla podróżujących.

Ale skorzystano z niej z radością. Szalona jazda saniami, mróz dały się już wszystkim we znaki, przez dwa dni więc odpoczywano po trudach podróży i z nowymi siłami puszczono się w drogę, ku północy.

Podbiegunowa wiosna dawała się już odczuwać. Topniały śniegi, noce nie były mroźne, ukazywały się też kępki mchu, nędzne roślinki i małe, bezbarwne kwiatki.

Wszystko to radowało wzrok podróżnych, których jedynym widokiem przez długie miesiące był śnieg i olbrzymie lodowe bryły.

Powoli podróżnicy, zachwycając się odradzającą się przyrodą, przywykali do chodzenia pieszo, aby lepiej zbadać budzące się do życia rośliny, w ten sposób ujmując ciężaru zmęczonym psom i pozwalając, aby wyszukiwały mchy i inne rośliny na swe pożywienie.

Ponieważ w lasach, przez które przeprawiano się i na lodowych polach, które nie odtajały jeszcze, było dosyć zwierzyny, przeto zawołani myśliwi, jak Hobson, Żolif i inni, zabrali się do łowów.

Znali oni obyczaje bobrów, lisów, soboli i niedźwiedzi, żaden podstęp nie był dla nich ukryty, żadne sidła nie były bezużyteczne.

Pewnego dnia, rankiem, dwóch najlepszych myśliwych i Paulina Barnett wraz z porucznikiem, puścili się o kilka mil na wschód.

Spostrzeżono wyraźnie ślady jeleni rogaczy i za parę godzin, czuwając za drzewem, ujrano walczące z sobą zwierzęta.

Obecność tych zwierząt w mroźnej stronie, w jakiej nigdy nie widziano saren ani rogaczy, wprawiła porucznika w wielkie zdumienie.

— Nic to dziwnego — wytłumaczyła mu Barnett — uciekają już od dłuższego czasu do miejsc spokojniejszych, aby ich nie prześladowano.

— Ale o co oni się biją?

— To u nich w zwyczaju — odrzekł Hobson — jak tylko słońce zacznie je ogrzewać, rozpoczynają walki.

Zaczęto się przyglądać jeleniom. Były to prześliczne zwierzęta o okrągłych rogach, cienkich zgrabnych nóżkach.

Niektóre z nich miały sierść czerwonawą, inne były brunatne. Rogi białe, ale tylko u samców, samice nie miały zupełnie tej ozdoby.

Trwała zacięta walka. Zwierzęta nie widziały obserwujących ludzi, a gdyby i zauważyły, na pewno by jej nie przerwały. Żołnierze, towarzyszący porucznikowi, mogli się do nich przybliżyć z łatwością.

— Może poczekamy aż się pozabijają — odezwał się jeden z żołnierzy — i tak będziemy mieli zwyciężonych, a oszczędzi się prochu i kuli.

— A czy zwierzęta te mają jakąś wartość w handlu? — spytała Paulina Barnett.

— O, tak — odpowiedział Hobson — skóra ich jest tak mocna, jak żelazo i wytrzymała na wilgoć i suszę. Indianie ogromnie poszukują tych zwierząt.

— A mięso, czy też do użytku?

— Smak mięsa średni, nawet bardzo średni. Twarde jest i mało soczyste. Ale gdy nie ma lepszego, jedzą je, bo jest pożywne.

Podczas tej rozmowy walka ucichła. Czyżby jelenie miały dosyć krwi i bólu? Czy może zauważyły podróżnych?

Nie wiadomo, jaka była przyczyna, ale z wyjątkiem jednej pary, całe stado rzuciło się na wschód i żaden najbystrzejszy koń na pewno nie dognałby ich.

Dwa pozostałe, uczezione do siebie rogami biły się zawzięcie i bez przerwy.

— Może byłby już czas z nimi skończyć? — zapytała Paulina Barnett — lepiej zabić niż pozwolić na takie wzajemne mordowanie się.

— Poczekamy jeszcze chwilę — odrzekł porucznik — podejźmy bliżej.

Podeszli bliżutko, o kilka kroków, ale zwierzęta nadal nie uciekały.

Sczepione rogami nie mogły się rozplatać, co zdarza się często u rogaczy. Wtedy nieszczęsne stworzenia albo giną z głodu, albo pożerają je dzikie ptaki lub inne zwierzęta — mięsożerne.

Jeden z żołnierzy wystrzelił, a gdy padły martwe, zdarł skórę, mięso zaś zostawił na żer zwierzętom.

Powróciwszy do fortu wyprawiono wspaniałe jelenie skóry i zabrano się znów do drogi.

Wyruszone teraz, jak i z początku, drogą, kierującą się ku północnemu zachodowi, gdzie grunt był tak nierówny i pełen wyrw, że nieszczęsne psy, znane z niepomiernej szybkości biegu, ledwie mogły się wlec z podróżnymi.

Rozdział IV

Hobson przyspieszał wyprawę, chciał jak najprędzej znaleźć się na końcu jeziora Wielkiego Niedźwiedzia i dotrzeć do przystani „Zażyłość”.

Droga, którą obecnie przebywali, była bardzo zła i trudna do przejścia albo do przejazdu. Poprzerywana bieżącą wodą lub bryłami lodu, tamującymi bieg sań, była zupełnie nie zamieszкана, ani jednego człowieka, ani jednej chaty nie było na odległość dziesięciu mil wokoło. Zdarzały się tylko ślady rogaczy nic więcej, czasem też niedźwiedzie stopy odbijały się na śniegu, widziano też kilka białych niedźwiedzi.

Po wielkich trudach towarzystwo przybyło do granicy koła podbiegunowego, stąd już ruszono śmiało ku celowi podróży. Ale po pięknych dniach nastąpiła nieopisana niepogoda. Obłoki żółtej barwy zbierać się zaczęły nad ziemią, a w nocy straszliwy huragan, z wichrem zmiatającym wszystko po drodze, rozegrał się tak okropnie, że podróżnicy zmuszeni byli opuścić sanie, których psy unieść już nie były w stanie i za poradą jednego z towarzyszących im żołnierzy, skryć się między lodowce, zasypawszy wpierw otwór śniegiem.

Czterdzieści osiem godzin trwała burza i coraz to wzrastała w swej mocy. Wichur był bez przerwy, a okropne ryki niedźwiedzi dodawały grozy całej tej walce żywiołów.

Ale na szczęście zwierzęta, zajęte sobą i swym bezpieczeństwem nie odkryły kryjówek naszych podróżnych. Przechodziły obok śniegowego domku nie zauważywszy ani psów, ani ludzi. Ostatnia noc, z 25 na 26 maja, była najokropniejsza. Gwałtowność huraganu była tak straszliwa, że obawiano się, słusznie, obalenia się lodowców. Słyszano ciągły trzask i widziano drżenie olbrzymich głazów lodowych.

Okrutna śmierć czyhała na podróżnych, otoczonych przez niebotyczne lody.

Jednak pod koniec nocy burza ucichła wskutek silniejszego niż zwykle mrozu, który, jakby ściął powietrze i wichur powstrzymał.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca wlały nadzieję w dusze zatrwożonych.

Ziemia stała się gładka i podatniejsza do dalszej podróży, niebo się przejaśniło i w duszach wszystkich stało się weselej i jaśniej. Hobson dał znak do wyjazdu i puszczono się w dalszą drogę z pośpiechem.

Zamiast kierować się prosto na północ, skierowano się na zachód.

Chciano dotrzeć do portu „Zażyłość”, zbudowanego na końcu jeziora Wielkiego Niedźwiedzia.

Pędzono tak szybko, że 30 maja przybyto do portu.

Port „Zażyłość”, leżący nad rzeką Mackenzie, był miejscem najbardziej wysuniętym na północ i miał łatwą komunikację z fortem Franklina na południu.

Składał się on z budynku dla oficerów, żołnierzy i olbrzymich składów na futra. Wszystko to zbudowane było z drewna i otoczone murem. Kapitan, będący tam dowódcą, był właśnie nieobecny, gdyż wyruszył z garstką Indian i żołnierzy na poszukiwanie stron bardziej przez zwierzyne odwiedzanych, aby zapełnić opustoszałe od zapasów składnice.

W imieniu kapitana przyjął podróżnych jeden z sierżantów. Był to przyrodni brat sierżanta Longa, podróżującego z naszą wyprawą i nazywał się Felton.

Oddał się on całkowicie na usługi porucznika Hobsona, który chciał dać wypoczynek podróżnym, prosząc o trzydniowe pozostanie w porcie.

Ludzi i zwierzęta natychmiast umieszczono w bardzo wygodnych pokojach, najpiękniejszy pokój ofiarowano naturalnie Paulinie Barnett i jej towarzysze.

Zaraz na wstępie zapytano się, czy nie ma gdzieś w pobliżu Indian i dowiedziano się, że są oni o trzydzieści mil od portu i że chcąc wejść z nimi w stosunki handlowe, trzeba przebyć wody jeziora, gdzie obecnie przejście jest łatwe, gdyż pogoda sprzyja, w powietrzu jest cisza i wcale nie zbiera się na burzę, podobną do ostatniej.

Obiecano też dać łódź i majtka, który w kilka godzin dowiezie ich do indiańskiego obozu. Na umowę z Indianami miał jechać sam Hobson, ale Paulina Barnett uprosiła go, aby pozwolił jej towarzyszyć w tej wyprawie, na co zgodził się z największą przyjemnością, obdarzając od pierwszego spojrzenia sympatią odważną podróżniczkę. Miano wyruszyć nazajutrz, a tymczasem postanowiono zapoznać się z okolicą.

Było tu bardzo pięknie. Na wodzie rosły prześliczne trzciny, trawy bardzo wysokie i wydające delikatny zapach kadzidła. Wokoło rosły olbrzymie drzewa i przeróżne krzewy, biegały zwierzęta, latały różnobarwne ptaki.

Najwięcej przelatywało edredońskich kaczek, krzyząc przeraźliwie, prześlicznych ze swym biało–żółcistym pierzem.

Z innych ptaków widać było unoszące się w powietrzu gwizdźale, arlekiny, stare baby, sokoły i szare o popielatej piersi i dziobie, i błękitnych łapkach, pomarańczowych oczach. Gniazda tych ptaków przyczepione były do olbrzymich drzew i miały formę dużego tomu książkowego.

Upolowano kilka dużych ptaków i co najważniejsze, zabito sobola.

Zwierzę to było niegdyś bardzo pońętne dla Chińczyków, Rosja dostarczała im tych futer w ogromnej ilości.

Po trzech godzinach przechadzki po okolicy wrócono do domu, gdzie czekała na nich wspaniała wieczerza, złożona z ryb i świeżego mięsa.

Po kilkugodzinnej pogawędce udano się na spoczynek, a nazajutrz o godzinie piątej rano Paulina Barnett i Hobson byli już przygotowani do podróży.

Namawiano i Tomasza Blacka, aby pojechał do Indian, ale astronom wolał pozostać w porcie. Pogoda była piękna, gdy dwaj podróżni i ich przewodnik Norman wsiadali do łodzi rybackiej, aby przepłynąć się przez jezioro.

Podróż tę można by zwać raczej przejażdżką, tak była niesłychanie przyjemna.

Po trzech godzinach jazdy zbliżano się już do miejsca, gdzie się miano zatrzymać. Wyjechano z portu o godzinie szóstej rano, a już o dziesiątej zatrzymano się na ziemi Indian.

Trzej Indianie, ze swym wodzem na czele, wyszli naprzeciw przybyłym i przemówili po angielsku.

Tamtejsi mieszkańcy byli to Indianie ze szczepu Zając, już od dawna tam osiedli, zajmujący się handlem. Futra zwierzęce dostarczali w ogóle wszystkim przedsiębiorstwom zajmującym się handlem skórami zwierzęcymi i żyli się tak z Anglikami, że utracili nawet wrodzoną swą dzikość.

Paulina Barnett wraz z porucznikiem udali się do obozu Indian, położonego nad brzegiem o pół mili od jeziora.

Zastano tam ze trzydzieści kobiet, dzieci, mężczyzn, którzy trudnili się rybołówstwem i polowaniem, wytrzebając bogatą w tych stronach zwierzynę. Indianie ci, którzy przybyli tu z Północnej Ameryki i doskonale znali się na obyczajach zwierząt, dali cenne wskazówki Hobsonowi, a przede wszystkim oznajmiono porucznikowi, że w stronach podbiegunowych, do których dążyli, nie było nikogo o tej porze i nikt im przeszkadzać nie będzie w polowaniu.

Hobson podziękował doświadczonemu podróżnikowi za udzielone mu rady i poszedł, po złożeniu podarków, wraz ze swą towarzyszką, obejrzeć obozowisko.

Przeciągnęło się to do godziny trzeciej po południu, po czym pożegnano Indian i wyszukano starego marynarza Normana, który oczekiwał z niecierpliwością ich powrotu, a dlaczego — wytłumaczymy w następnym rozdziale.

Rozdział V

Norman, świetny znawca zmian atmosferycznych, był niespokojny. Od godziny zaczęło się coś zmieniać w powietrzu, co go mocno niepokoiło. Niebo zasnuło się chmurami, słońce nie pojawiało się, jak zwykle złociste, lecz przybrało barwę błękitną bez blasku i bez promieni. Fale wód szemrały cicho, ale ku południowi słyszeć było silne uderzenia fal i jakby grzmoty.

Wszystkie te zjawiska nie podobały się ogromnie marynarzowi, który znał wszelkie przejawy niebezpieczeństwa, obcował wszak wciąż z naturą i odczuwał w tej chwili grozę położenia.

— Jedźmy! Jedźmy prędzej! Panie poruczniku! — zawołał do Hobsona, spoglądając z przerażeniem na chmury wiszące nad głową. — Jedźmy natychmiast, nie tracąc ani minuty! Jest coś w powietrzu złowrogiego!

— Rzeczywiście — odpowiedział Hobson — niebo zmieniło się ogromnie, nie zauważyliśmy tego wcale.

— Czy boi się pan burzy? — spytała Barnett starego marynarza.

— Tak, pani — odpowiedział Norman — a burza na Wielkim Niedźwiedziu jest zawsze okropna. Huragan szaleje, jak na Atlantyku. Ta brunatna chmura nie zwiastuje nam nic dobrego. Być może, iż burza wybuchnie po naszym przyjeździe do domu... Ale jedźmy czym prędzej...

Hobson nie sprzeciwiał się wywodom starego marynarza, wiedział, że ten ostatni jest bardziej doświadczony i że może na nim polegać.

Wsiedli więc do łodzi, a wtedy Norman, jakby tknięty przeczuciem, wyszeptał:

— A może by lepiej przeczekać?

Hobson spojrział badawczo na starego i pomyślał, że gdyby był sam, pojechałby stanowczo do domu. Zawahał się więc z odpowiedzią. Ale Paulina Barnett zrozumiała jego wahanie i rzekła do porucznika:

— Proszę, niech pan porucznik nie zwraca na mnie uwagi i robi tak, jak gdyby mnie tu nie było.

— Jeśli ten dzielny marynarz uważa, iż możemy jechać, to jedźmy natychmiast.

— A więc jedźmy! — zawołał Norman — i wracajmy jak najkrótszą drogą do domu!

Minęła już godzina, jak wyjechali, a mało oddalili się od Indian.

Chmury ciemniały, zagiął bił o maszt z gwałtowną siłą, a w powietrzu wyczuwało się burzę.

Podróźni siedzieli cicho, podczas gdy marynarz z trudem wypatrywał drogę, bowiem mgła panowała dokoła.

— Zaledwie się poruszamy! — odezwał się Hobson.

— O, tak, panie poruczniku — odpowiedział Norman — boję się, czy burza nie wybuchnie w stronie, ku której jedziemy — byłoby to bardzo niebezpieczne. Burze na tym jeziorze trwają i po piętnaście dni, a wtedy nie wiem, czy byśmy powrócili za miesiąc.

O godzinie wpół do piątej burza wybuchła. Błyskawice przerzynały niebo, grzmoty poczęły huczeć.

Słychać było krzyk uciekającego ptactwa, błędzącego rozpaczliwie w gęstej mgle wiszącej ponad jeziorem.

Fala rzuciła łodzią, jakby była łupiną od orzecha, uniosła ją do góry na sam pienisty wierzchołek i obracała nią tak, jak chciała.

— Na pomoc! Na pomoc! — krzyknął stary marynarz, nie mogąc podołać naporowi fal, rzucanych przez huragan.

Hobson i jego towarzyszka nie mogli mu dużo pomóc, nie byli obeznani ze sztuką wiosłowania podczas burzy.

Do łodzi wpadały bałwany, z obłoków spadł deszcz na pół ze śniegiem, a wicher wyprawiał straszliwe harce. Norman starał się cofnąć ku południowym wybrzeżom Wielkiego Niedźwiedzia, ale było to niemożliwe.

Życie tych trojga ludzi od tej chwili było w ręku Boga.

Ale ani porucznik, ani Paulina Barnett nawet na chwilę nie wpadli w rozpacz. Przytuleni do swych ławeczek, pokryci od stóp do głowy pianą morza i płatami padającego śniegu, spowici w ciemne mgły, spoglądali spokojnie w przestrzeń. Łąd znikł im z oczu, widzieli tylko niewyraźne starego Normana, który z zaciśniętymi ustami próbował jeszcze powstrzymać łódź od całkowitego zanurzenia się w falach.

— Uciekać! Uciekać za wszelką cenę! — szepnął marynarz. W tej samej chwili o sto stóp za łodzią unosił się straszliwy bałwan, pod nim utworzyła się bezdena przepaść.

W przepaści tej woda była czarna, jak sadze. Łódź wpadła w tę przepaść, która stawała się coraz większa i coraz straszliwsza. Norman widział lecącą falę, porucznik i Paulina Barnett patrzyli osłupiałym wzrokiem na słup wody, mający runąć na nich.

I runęła wkrótce z okropnym hałasem, rozbiła tył łodzi z wielkim trzaskiem. Dał się słyszeć pełen przerażenia krzyk — łódź znalazła się pod wodą, pogrzebana w pienistej górze.

Mimo że została napelniona wodą, uniosła się w górę... tylko marynarza nie było.

Hobson wydał okrzyk rozpaczny. Paulina obróciła się ku niemu.

— Norman! — krzyknął, pokazując puste miejsce po marynarzu.

— Nieszczęśliwy! — zawołała Paulina z boleścią. Powstali, nie zwracając uwagi na to, że mogą zginąć w rozhukanych falach, ale nie widzieli nic.

I nie słyszeli ani krzyku, ani wołania o pomoc. A i ciało nie ukazało się na powierzchni... Stary marynarz znalazł śmierć w falach.

Porucznik i Paulina rzucili się z wyrazem rozpaczny na ławki. Teraz zostawieni byli sami sobie, ale czy zdołają się wyratować bez tego dzielnego człowieka?

— Jesteśmy zgubieni — odezwał się porucznik.

— Nie, panie Hobson — odpowiedziała bohaterska kobieta. — Róbmy, co możemy, a Bóg nam dopomoże!

Wtedy Hobson zrozumiał, co warta była Paulina Barnett i jak potrafiła zagrzewać do wytrwania.

Zaczęli oboje wylewać wodę z łodzi, a gdy trochę ulżyli, nowe fale zalewały i groziły zatonięciem.

— Musimy być gotowi na śmierć w falach — odezwał się porucznik.

— Jestem gotowa! — odpowiedziała z prostotą Paulina. Wtem olbrzymia fala uderzyła o łódź i okryła ją całą. Łódź uniosła się na chwilę, fala wyszarpała ławki, rzuciła podróżnych na dno ich chwiejnej barki i zakryła przed nimi horyzont.

Straszna noc, nieprzenikniona, zasłoniła im wzrok, czuli, że to ich ostatnia godzina.

Jak długo to trwało, nie wiedzieli. Zrozumieli tylko, że przód łodzi zerwany, że są na deskach.

— Toniemy! — zawołał porucznik.

W rzeczywistości łódź, a raczej tylko kawałek łodzi, zanurzył się w wodzie pod ich ciężarem.

— Pani! Pani! — krzyknął porucznik — schodzę z łodzi, będę płynął obok pani, to ją uratuję! We dwoje na tej wątej desce zginiemy!

— Nigdy! — zawołała Paulina Barnett — ja wyjdę z łodzi, niech ginę! Pan potrzebniejszy!

— Byłbym podły! — krzyknął Hobson — nigdy! Tymczasem nowy bałwan wpadł na łódź i przykrył ją całą. Porucznik porwał wpół swą towarzyszkę i starając się utrzymać jej głowę nad wodą, płynął ze swym ciężarem.

Czuł jednak, że sił mu na długo nie starczy i że zginą oboje.

Naraz usłyszał jakieś przeciągłe gwizdania. Nie były to głosy ptaków — ludzie szli im na ratunek.

Któż to mógł być, co śmiało pędził w rozhukane fale, aby ich ratować?...

Ostatkiem sił porucznik wydał okrzyk i zakrył go okropny pienisty bałwan. Trzej Eskimosi, płynąc w swoich kajakach, zauważyli łódź walczącą z bałwanami i rzucili się im na pomoc.

Kajak jest to podłużne czółno, wykonane z jednej kłody bardzo lekkiej, obciągniętej skórą foki i mającej wierzch i środek łodzi wyłożony skórą, u góry zaś jest mały otwór.

W otwór ten wsiada Eskimos, spokojny, że ani jedna kropla wody nie spłynie do wnętrza. Eskimosi trafili właśnie na chwilę, kiedy Hobson wydawał okrzyk.

Paulina Barnett i Hobson na wpół uduszeni poczuli czyjeś ręce wyciągające ich z otchłani, ale w ciemności, jaka ich ogarniała, nie spostrzegli, kto był wybawcą.

Jeden z Eskimosów zabrał do swej łodzi porucznika, drugi Paulinę i puścili się po pienistych falach jeziora.

W pół godziny potem oboje ułożeni zostali na piasku o trzy mile od portu.

Nie było tylko zacnego marynarza, który, być może, sam rzucił się w fale, chcąc ulżyć łódce ciężaru.

Rozdział VI

O godzinie dziesiątej wieczorem Paulina Barnett i porucznik Hobson pukali do portu. Zapanowała ogromna radość, sądzono bowiem, że z powodu szalejącej burzy, wszyscy zginęli w falach jeziora.

Ale gdy się dowiedziano o śmierci starego Normana, smutek ogarnął załogę.

Dobry ten i dzielny marynarz kochany był przez wszystkich ogromnie i pamięć jego pozostała na zawsze w sercach jego towarzyszy.

Co się tyczy odważnych Eskimosów, to ci, po otrzymaniu pochwał i podzięk, zaraz powrócili do domu, nie chcąc nawet zachodzić do portu. To co zrobili, zdawało się im bardzo naturalne.

Dzień i następną noc poświęcono odpoczynkowi, po czym wyruszono w dalszą drogę. W pierwszych saniach umieścili się porucznik i Paulina Barnett, Magdalena zaś jechała z sierżantem Longiem.

Przez całą drogę porucznik opowiadał swej towarzyszce różne przygody ze swego życia, Paulina, ze swej strony opowiadała mu swoje przejścia w czasie odbywanych podróży.

W ten sposób dnie upływały im bardzo mile, a tymczasem psy pędziły galopem ku pomocy. Nie zatrzymywano się nigdzie ani na chwilę, nawet w nocy, która tu trwała tylko dwie godziny, pędzono bez przerwy. A pogoda była piękna, niebo jasne i od czasu do czasu ukazywała się zieleń drzew i szybko topniejące lodowce. Zwierząt nie widziano tu wcale, natomiast znajdowano ślady obozowisk, zgasłe ogniska i nawet resztki żywności.

Widocznie niedawno byli tu już poszukiwacze futer i przetrzebiwszy zwierzynę, której reszta umknęła zapewne przed prześladowcami, odeszli w inne strony.

W pięć dni po wyruszeniu z portu, Hobson pokazał wszystkim rozciągające się morze i postanowił zatrzymać swych współtowarzyszy.

Tutaj wypoczywano przez cały dzień, zachwycając się widokiem bezmiernego morza i przelatujących nad nim ptaków, po czym szóstego czerwca udano się w dalszą drogę.

Nie napotymano tu dotąd zwierzyny. Prócz kaczek, których setki przelatywały nad jadącymi, nie widać było nawet innego ptactwa.

Po jakimś czasie upolowano trochę białych zajęcy i spostrzeżono ślady niedźwiedzi. Musiało ich tu być dużo, ale nie spotykano ich nigdzie.

Pocieszano się tym, że wygłodzone zwierzęta przywędrują na pewno w poszukiwaniu pożywienia na wybrzeże Morza Lodowatego, a wtedy rozpocznie się polowanie na ich wspaniałe skóry.

Prócz tego o kilkadziesiąt mil drogi, zimą, gdy futra są najpiękniejsze, żyją bobry, srebrne i błękitne lisy i sobole.

Noga ludzka nie przechodziła tędy; zwierząt więc tam musiało być dużo i tam postanowiono utworzyć przystań i zatrzymać się.

Nad brzegami Morza Lodowatego znajdować się też miały zwierzęta, stanowiące żywność i odzież Eskimosów i Indian.

Były to renifery, mięso ich niezwykle soczyste, skóra bardzo ścisła, włos miękki, podatny do przędzenia.

Jako siła pociągowa dla Eskimosa renifer stanowi wszystko. Zwierzę to, je wszystko to, co mu dają, a więc tłuszcz foki, mech i trawy.

Te ostatnie renifer wyszukuje sobie pod śniegiem.

Zdawało się porucznikowi Hobsonowi, że nikogo tutaj nie spotka, że sam jeden będzie korzystał ze zdobyczy.

Tymczasem pewnego razu zauważył on obóz, jakby dopiero co opuszczony. Ludzie, którzy tu obozowali, musieli być niedaleko.

— Oto nieprzyjemne odkrycie — rzekł Hobson. — Wolałbym napotkać całe stado białych niedźwiedzi.

— Ale ludzie, którzy tu obozowali — odparła Paulina Barnett — są stąd bardzo daleko, wszak ognisko dawno wygasło i ani czarnego punktu na całej przestrzeni, który by wskazywał, że idzie karawana poszukiwaczy futer. Zresztą skierowali się na pewno na południe.

— To zależy od tego, czy ślady, które tu widzimy, są Eskimosów czy Indian. Eskimosi idą zwykle na pomoc, tamci zaś na południe.

— A może by po tych śladach dało się rozpoznać, kto tędy przechodził. Wszak każdy ma inne obyczaje, chód nawet.

Paulina Barnett miała rację. Zaczęto oglądać dokładniej resztki obozowiska. Znaleziono kości zwierząt, które mogli jeść tak samo dobrze Indianie, jak i Eskimosi, z tego więc nic wywnioskować nie było można.

Ale z dala dostrzegli już żonę kaprała Żolifa, obserwującą coś na ziemi.

Podeszli do niej, a wtedy Kanadyjka, obracając się ku porucznikowi, rzekła:

— Pan szuka śladów? Oto one!

I wskazała im dużo śladów, świetnie odcisniętych na lodzie.

Schylono się ku ziemi, wiedząc, że w ten sposób można rozpoznać czyje tędy przechodziły stopy.

Ślady te były dziwne. Bez wątpienia szli tędy ludzie, ale nie całą stopą, lecz jakby dotykając tylko noskiem bucika lodowatego gruntu.

— Są to ślady osoby tańczącej — zauważyła pani Żolif. Ale kto mógł być tak wesołego usposobienia, aby tańczyć tutaj na amerykańskim lądzie, o kilka stopni od bieguna?

— To nie mógł być Indianin — odezwał się porucznik.

— I nie Eskimos — dodał Żolif.

— Nie, to był Francuz — rzekł sierżant Long spokojnie. Wszyscy przytwierdzili, że rzeczywiście, tylko Francuz mógł tutaj tańczyć — nikt inny!

Rozdział VII

Odkrycie to nie ucieszyło Hobsona. Obawiał się, że ktoś jest w sąsiedztwie, że będzie miał konkurenta i postanowił iść szybciej niż dotąd, do miejsca, które obrał sobie na założenie przystani i magazynów.

Szli więc bardzo szybko, przechodząc dziesiątki mil przez parę dni.

Okolica była prześliczna, cała w zieleni drzew. Mnóstwo zwierząt i ptactwa widzieli podróżni, ciesząc się, że ich kampania uda się w zupełności.

Przed oczami ich rozciągało się bezgraniczne morze i już piątego lipca, o trzeciej godzinie po południu, podróżni stanęli na szczycie przylądka Bathurst, tutaj porucznik Hobson postanowił się zatrzymać.

Miejsce to było jakby stworzone na rozłożenie obozu.

Otaczały je sosny, jodły, modrzewie przydatne na budowlę i na opał. Wody tam płynące były słodkie, a więc zdatne do picia. Jedna z rzek, przepływających, otrzymała nazwę imienia Pauliny, a mały, jakby utworzony przez naturę port, jej nazwisko, z czego podróżniczka była bardzo zadowolona.

Pobudowano przystań w ten sposób, żeby była osłonięta ze wszystkich stron od wiatru i od zasp śnieżnych, które zawaliłyby cały budynek, grzebiąc zamieszkałych w nim ludzi.

Upał był nie do zniesienia podczas upatrywania miejsca dogodnego na przystań ani jednej chmurki na całym horyzoncie, ani jednego podmuchu wiatru.

Podróżni zadowoleni z pięknej pogody, nawet nie pomyśleli o tym, jak to będzie zimą, myśleli tylko o teraźniejszości.

Postanowiono najdalej za miesiąc być już w pobudowanym nowym domu, a każdy z nich, w miarę swoich możliwości, powinien przyczynić się do tej budowy. Na szczęście nie brakowało drzew w tej okolicy.

W przeciągu sierpnia dom mieszkalny był już wykończony, urządzeniem zaś wnętrza zajęła się Paulina Barnett z Magdaleną. Miejsce obrane na port, który przezwano „Nadzieją” było ze wszech miar wygodne. W rzece, zwanej „Paulina”, było mnóstwo ryb różnego rodzaju, w odnogach morza przepływały ogromne wieloryby i inne olbrzymy, nad brzegiem usadowiły się foki.

Do budowy brakowało tylko kamieni, bowiem tych zupełnie tutaj nie było. Ale zastąpiono je skorupami mięczaków, zmielonymi i odpowiednio przygotowanymi. Ze na mapach nie widzimy portu „Nadzieja”, wystawionego przez ludzi Hobsona, to dowód, że spotkał tę miejscowość straszliwy los, zatarłszy jej ślady.

Po zbudowaniu domu mieszkalnego, zaczęto robić meble.

A więc najpierw łóżka obozowe, olbrzymi stół o grubych nogach, ławy i dwie pakowne szafy na ubrania.

Dom mieszkalny dzielił się na 6 pokoików, jakby kajut, w których stały łóżka i stoły.

Paulina Barnett zamieszkała w pokoju wraz z Magdaleną, był to śliczny pokoik, jego okna wychodziły na jezioro. Małżeństwa zaś zamieszkały w pokoikach oddzielnych, w których były piece i kuchenki do gotowania.

Hobson zaczął teraz myśleć o zgromadzeniu prowiantów na czas zimowy. Wiedział, że w tej porze nie sposób wyjść na dwór, aby coś upolować.

Postanowił też zużytkować tłuszcz foki na opał i światło.

Za pięć tygodni miały zacząć już padać śniegi, postanowiono więc przedtem zapolować nie na futra dla kampanii, lecz na żywność. Nie tak łatwo bowiem wyżywić przez zimę 19 osób i 60 psów.

Wyruszano więc na renifery, których mięso wędzono lub solono, na foki, z których wydobywano tłuszcz i napełniano nim beczułki.

Bardzo często i Paulina Barnett towarzyszyła myśliwym i nie ustępowała im w zręczności i odwadze.

Dzięki tym wycieczkom spiżarnia napełniła się żywnością. Składnicę futer też wkrótce zapełniono. Były w niej prócz reniferów i białe zające, bardzo duże, o długich uszach, burych oczach i prześlicznym włosiu, tak delikatnym, jak łabędzi puch. Ważyły one od 10 do 15 funtów. Mięso ich nadzwyczaj smaczne. Wędzono je lub robiono wyborowe pasztety, które żona Żolifa doskonale umiała przyrządzić, futra zaś składano w magazynie. Oprócz zwierząt polowano też i na ptaki, których była tu niezliczona moc.

Pomijając kaczki, które zabijano setkami, były tu duże, białe ptaki podobne do kuropatw, o wyśmienitym smaku.

Nazywano je kogutami topolowymi, gdyż przesiadywały na tych drzewach.

Korzystając z obfitości wód, mieli też codziennie świeże ryby; dostarczali je do fortu cierpliwy sierżant Long i Magdalena. Nieraz całe godziny spędzali bez słowa, żeby ryb nie spłoszyć, ale zawsze powracali z pełną siatką soczystych ryb, które jedzono na obiad lub wieczerzę, jak również solono lub wędzono na zimę.

Podczas polowań można było zauważyć nadzwyczajną obfitość niedźwiedzi. Jedne z nich były brunatne, inne olbrzymie i całkowicie białe.

Prócz tego ukazywały się tam często zwierzęta podobne do gatunku wilków. Były to ogromne szare drapieżniki, wysokie na 3 stopy, o bardzo długim ogonie, bielejące na zimę.

Kryły się one w wykopanych przez siebie norach, żywiąc się mięsem reniferów i ptactwa.

W lecie zwierzęta te uciekały od podróżnych, mając obfitość pożywienia, ale w dni głodu gotowe były rzucić się na ludzi, zaś nory wykopane w pobliżu obozu, kazały się domyślać, że zwierzęta te nie opuszczały tych okolic.

Pewnego dnia myśliwi przynieśli do portu zwierzę ohydnej brzydoty, nie widziane jeszcze nigdy przez Paulinę Barnett i Tomasza Blacka. Zwierzę to miało krótkie nogi i zakończone zakrzywionymi szponami, oczy straszne i dzikie.

— Co to za obrzydliwe zwierzę! — zawołała Paulina Barnett — jakżeż się ono nazywa?

— Szkodnik ten, wyniszczający bobry, wróg lisa i wilka zwie się u nas wolwerez, u innych narodów ma inną nazwę — odrzekł uczoney. — Mieszka w wydrążonej skale lub dziuplach drzew i duże szkody wyrządza. Futro jego czarnej barwy, połyskujące, poszukiwane jest w handlu. Mięso bezużyteczne.

Prócz zwierzyny, ptactwa i ryb, zaopatrzone się też w napoje. Uzbierano pączków pewnego gatunku balsamicznej topoli, które odpowiednio przyrządzane dają wyborne piwo.

Również z obficie tam rosnących cedrów, wyrabiano napój bardzo orzeźwiający. Były tylko dwa warzywa możliwe do użytku.

Jedna roślina o korzeniu bulwiastym była niczym innym, jak dzikimi gruszkami, nie dorastającymi wysokości buraków. Bulwy te używano jako jarzynę. Druga roślina, zdatna na napój, nazywała się „herbatą Labradoru” — było jej ogromnie dużo, to ulubione pożywienie białych zajęcy. Herbata ta z dodatkiem kilku kropel wina lub wódki stanowiła wspaniały napój.

Apteczka naszych podróżnych posiadała też wiele koniecznych lekarstw, a i skrzynie cytryn na użycie w razie potrzeby.

Rozdział VIII

Nadeszły pierwsze dni września. Za trzy tygodnie śniegi pokryją ziemię i dlatego trzeba się było bardzo spieszyć z przeróżnymi zajęciami.

Przede wszystkim trzeba było przygotować tłuszcz na oświetlenie.

Postanowiono więc gromadnie iść na foki. To, co mieli w beczułkach, wystarczyłoby na miesiąc, a tymczasem kilka zimowych miesięcy, bez przerwy ciemnych, czekało na 19 podróży.

Siedziba fok znajdowała się o 15 mil od portu Bathurst, na wyprawę tę zaprosił porucznik Hobson i Paulinę Barnett. Wyruszone o godzinie ósmej rano, wzięwszy dwie pary saní do przywiezienia fok. O godzinie dziewiątej sanie zatrzymały się przy zatoce.

Sanie pozostawiono z tyłu, aby nie przestraszyć zwierząt i podsunęto się bliżej zatoki, aby obserwować foki przeznaczone na upolowanie. Okolica ta, o piętnaście mil odległa od Bathursta, ogromnie różniła się od miejsca, gdzie był port „Nadzieja”.

Tam, jak wiemy, nie było ani kawałka kamienia, tutaj stały ogromne złomy skał, olbrzymie kolosy.

Hobson zamyślał wejść na wierzchołek jednej ze skał, aby rozejrzeć się po okolicy. Czasu mieli dużo, bo na foki było jeszcze za wcześnie, więc Hobson, Paulina Barnett i sierżant postanowili z tego skorzystać.

W kwadrans byli już na wierzchołku.

U stóp ich rozciągało się morze, które w pomocnej stronie zamykało horyzont. Nie było widać ani kawałka lądu, ani wyspy. Cały ocean wolny był od lodowców i to dokąd tylko oko mogło dosięgnąć.

Zwróciwszy się ku wschodowi Hobson spostrzegł okolicę zupełnie nową z pagórkami, jakby ściśniętymi. Były to zapewne wygasłe wulkany. Obserwujący spostrzegli port „Nadzieja”, a nawet zauważyli dym, unoszący się z komina, widocznie pani Żolif przygotowywała obiad. Nagle dano znak z dołu, że czas na polowanie i Hobson wraz z sierżantem zeszli na dół, Paulina zaś pozostała na szczycie, nie chcąc patrzeć na zabijanie biednych stworzeń.

Na dole był wielki ruch. Foki zgromadziły się w ogromnej ilości — było ich przeszło sto.

Kilka z nich wpełzło na piasek, ale najwięcej spało.

Dwa duże, długie na 3 metry samce, czuwały nad bezpieczeństwem pozostałych.

Myśliwi musieli zbliżać się z ogromną ostrożnością, korzystając z zasłaniających skał i wzgórków.

Zwierzęta otoczono z dwóch stron, aby zamknąć im powrót do morza. Na lądzie są one ciężkie i

niezgrabne, ale w wodzie pływają, jak ryby, tak są zwinne i lekkie. Samce czuwające na brzegu zdawały się być niespokojne, widocznie wyczuły niebezpieczeństwo. Obracały głową na wszystkie strony, ale zanim zdołały wydać głos na alarm, myśliwi pięcioma kulami zabili strażników, potem dokłuli je dzidami, reszta zaś umknęła do morza.

Pięć zabitych fok ważyło bardzo dużo. Kły ich były przedniego gatunku, ciało olbrzymie i tłuste, obiecywano więc sobie z nich dużo tłuszczu. Ułożywszy na saniach zabite zwierzęta, wyruszono do domu. Paulina zeszła na czas z wierzchołka i przyłączyła się do swych towarzyszy.

Odbyto pieszo drogę, sanie bowiem zajęte były przez foki.

Dla rozpędzenia nudy rozmawiano przez drogę o tym i owym, ale czas dłużył się, droga była jednostajna, a ciężar ponad siły nie pozwalał psom szybko jechać, wlokły się więc pomału, a za nimi szli strudzeni podróżni.

Parę razy Hobson wstrzymywał pochód, chcąc dać biednym psom wypoczynek i w ten sposób droga, acz niedaleka, wydawała się wszystkim bardzo nużąca.

— Foki te za daleko się umieściły od portu — odezwał się sierżant Long — lepiej by zrobiły zakładając swój obóz przy naszym porcie.

— Nie znalazłyby tam nigdzie odpowiedniej siedziby — odpowiedział mu na to Hobson.

— Dlaczego, panie poruczniku? — zapytała ze zdziwieniem Paulina Barnett — co im tam nie dogadza?

— Niedogodne są im wysokie i urwiste brzegi, potrzebują łagodnego spadku, aby móc wychodzić i wchodzić z łatwością — odrzekł Hobson.

Rozdział IX

Pierwsza połowa września już przeminęła, a zimy jeszcze i śniegu nie było.

Temperatura naturalnie bardzo spadła, noce były mroźne, lody tworzyły się powoli, czasem padał deszcz na pół ze śniegiem, ale to był tylko wstęp do zimy.

Zimy oczekiwano tutaj bez trwogi. Zapasów żywności było bardzo dużo, zbudowano stajenkę dla domowych reniferów, a za domem duży skład na żywność. Zima, to znaczy noc, śnieg, lód, zimno mogły przychodzić, tym bardziej że wszyscy zaopatrzeni też byli w ubrania.

Uspokoiwszy się co do potrzeb swych towarzyszy, Hobson zajął się interesami Towarzystwa.

Nastał właśnie czas zmiany futer u zwierząt. Zmieniły swe szaty, otulając się nowym, pięknym i lśniącym włosiem. Czas był na polowanie, w celu zdobycia futer.

Zaczęto polować najpierw na bobry, które ogromnymi stadami obsiadły właśnie małą rzekę — tam więc skierowano swe kroki.

Zastano je przy robocie. Właśnie urządzały sobie pod wodą wspaniałe apartamenty zimowe i były mocno zapracowane.

Złapano bardzo szybko całe setki bobrów, między nimi było ze 20 wielkiej wartości, o czarnym lśniącym włosie. Inne miały długi, błyszczący włos, ale koloru brunatno—kasztanowego, a pod tym włosiem cienki puch szaro—srebrnego koloru. Myśliwi wrócili do swej twierdzy, bardzo zadowoleni z rezultatu wyprawy.

Skóry zostały wyprawione i ułożone w składzie według wartości.

Przez cały wrzesień i połowę października polowano wciąż bardzo pomyślnie.

Zabito ogromną ilość soboli, bielaków, ale największe ze zdobyczy, były błękitne i srebrzyste zające.

Włos ich jest długi i gęsty, i miękki; stanowi wspaniałe i ciepłe futro. Kilka z takich właśnie zajęcy ukazało się przy przylądku Bathurst, ale trudno je było zabić, są to bowiem zwierzęta bardzo chytre, przebiegłe i zwinne.

Zabito jednak dwanaście srebrzystych lisów, których futro czarnego koloru, ma gdzieś białe włosy.

Błękitne lisy o wiele większej wartości, trudniej zabić, ale udało się i tych trochę uśmiercić. Jeden ze srebrzystych lisów był niezwykle piękny.

Cały czarny, jak sędzę, o białych kończynach. Zabito go w niezwykłych okolicznościach. Dwudziestego czwartego września myśliwi, wraz z Paulina Barnett, pojechali saniami do zatoki fok.

Już w przeddzień rozpoznano tam ślady lisa i postanowiono go zabić.

W jakąś godzinę po przybyciu do zatoki, zabito dość dużego srebrnego lisa. Widziano jeszcze kilka lisów tegoż gatunku, więc rozdzielono się w ten sposób, żeby chytre zwierzęta nie mogły im umknąć.

Wkrótce ukazał się jeden i tego to właśnie otoczono tak szczelnie, że biedak wymknąć się nie mógł.

Przez pół godziny nie można było zdobyć lisa, tak zręcznie i chytrze umiał się ukryć.

W końcu jednak lis postanowił się wydostać z niebezpiecznej sytuacji, ale Hobson urządził za nim pościg i poczęstował go kulą.

W tej samej chwili rozległ się drugi wystrzał i lis padł na ziemię bez życia.

— Hurra! Hurra! — zawołał Hobson. — Lis mój!

— I mój również — dodał jakiś obcy człowiek, kładąc stopę na lisie w chwili, gdy porucznik wyciągnął rękę po zabite zwierzę.

Hobson zdziwiony cofnął się. Sądził, że drugą kulę posłał sierżant, tymczasem stał przed nim jakiś nieznany mu myśliwy, któremu dymiło się jeszcze z lufy.

Dwaj rywale spoglądali na siebie w milczeniu.

Na scenę tę przybyła Paulina Barnett z resztą myśliwych i stanęli w pobliżu.

Do nieznanego przyłączyło się ze dwanaście osób. Skłonił się on Paulinie Barnett z szacunkiem i przyglądał się swemu otoczeniu.

Był to człowiek wysokiego wzrostu, doskonały typ podróżników Kanady, których, jako konkurentów najbardziej obawiał się Hobson.

Podróżnik miał na sobie dziwny ubiór, na pół dziki, na pół europejski.

Otaczali go ludzie jego typu i dziesięciu Indian.

Hobson zrozumiał. Miał przed sobą Francuza, może agenta kompani amerykańskich.

— Lis ten do mnie należy — powtórzył porucznik, po chwili milczenia.

— Należałby do pana, jeśli by go pan zabił — odrzekł nieznajomy w języku angielskim, z akcentem wyraźnie cudzoziemskim.

— Myli się pan — odpowiedział żywo Hobson — zwierzę to należy do mnie w każdym razie, chociażbym go i nie zabił!

Pogardliwy uśmiech zaigrał na ustach nieznanego, wreszcie odrzekł:

— A więc, proszę pana — zaczął, opierając się na swej strzelbie — uważa pan Kompanię przy Zatoce Hudsona za bezwzględną władczynię całego okręgu północnej Ameryki?

— Bez wątpienia — odpowiedział porucznik — pan przecież należy, jeśli się nie mylę, do stowarzyszenia amerykańskiego?...

— Do Kompanii poszukiwaczy futer z Saint Louis — odpowiedział z ukłonem podróżny.

— A więc sądzę, że ma pan przy sobie i pokaże mi pozwolenie polowania na tym terytorium.

— Pozwolenie! — odparł pogardliwie Kanadyjczyk — to są wyrażenia i wymagania starej Europy, które brzmią dziwnie i obco w wolnej Ameryce.

— Ależ pan nie jest w Ameryce, lecz na ziemi angielskiej! — z dumą zaprzeczył porucznik.

— Panie poruczniku — odpowiedział mu Francuz — nie jest to miejsce do roztrząsania tego rodzaju kwestii.

— Wiemy tylko, że prędzej czy później, wypadki polityczne wyrównają tę postać rzeczy, i że Ameryka będzie amerykańska od Cieśniny Magellana do bieguna pomocnego.

— Nie wierzę temu — sucho odparł Hobson.

— Jakby nie było i jakie by nie były pretensje Kompanii, w każdym razie my panu nie będziemy przeszkadzali — odpowiedział Kanadyjczyk — a i pan, sądzę, nie będzie wchodził na nasze terytorium. Wszak prawda? Co do naszej obecnej sprawy, to małaśtka. Moja fuzja i pańska mają inne naboje. Możemy więc zobaczyć, czyj nabój spowodował śmierć lisa, a wtedy wiedzieć będziemy, do kogo należy.

Propozycja była słuszna. Wypatroszono zwierzę i przekonano się, że trafiły je dwie kule, jedna, należąca do Hobsona uwięzła w nodze, druga, z fuzji cudzoziemca, trafiła w samo serce, zadając śmiertelny cios.

— Lis należy do pana — rzekł Hobson, nie mogąc nie okazać niezadowolenia na widok prześlicznego futra, przechodzącego w obce ręce. Francuz podniósł lisa i gdy wszyscy myśleli, że włoży na plecy i zabierze do swego obozowiska, ujął zabite zwierzę i zbliżywszy się do Pauliny Barnett, rzekł z uprzejmością:

— Damy lubią piękne futra. Proszę mi więc pozwolić ofiarować tego lisa na pamiątkę naszego poznania.

Paulina Barnett wahała się, ale Kanadyjczyk ofiarował to z taką grzecznością i galanterią, że

odmowa byłaby dlań wielką przykrością. Przyjęła więc z podziękowaniem.

Wtedy cudzoziemiec złożył ukłon przed Paulina Barnett, pożegnał Anglików i znikł wraz ze swymi towarzyszami.

Porucznik dał znak do powrotu i przez całą drogę był mocno zadumany.

Inna Kompania odkryła ich siedzibę, a to spotkanie z kanadyjskim podróżnikiem dawało mu dużo do myślenia i przewidywał różne przeszkody w zdobywaniu futer dla swego stowarzyszenia.

Dopiero po przybyciu do portu „Nadzieja” — uspokoił się trochę i poweselał.

Rozdział X

Było już 21 września. Dzień i noc stały się jednakowej długości, potem, gdy zbliżała się zima, noce były niezwykle długie. 29 września stan atmosfery uległ ogromnej zmianie.

Termometr spadł do 41 stopni Fahrenheita, niebo pokryło się chmurami i spadł deszcz. Nadchodziła zła pora roku.

Pani Żolif, zanim śnieg upadł, zasiała przywiezione przez porucznika ziarnka zbóż i miała nadzieję na drugi rok piec już ciasto i chleb z wyhodowanej przez siebie mąki.

Hobson zaś zaopatrzył swych towarzyszy w ciepłe ubrania, aby spotkali mrozy z uśmiechem.

Wszyscy przyodziali się w wełniane, ciepłe ubrania, w skórzane spodnie, futrzane kurtki i nieprzemakalne buty.

Drugiego października pierwsze śniegi pokryły port Bathurst, który w kilka dni zmienił całkiem swój wygląd.

Pogoda była jednak możliwa, temperatura znośna, nie było bowiem wiatru, który bardziej dokucza zwykle niż mrozy.

Do składów przybyły nowe futra tych zwierząt, które zmieniały obecnie swą odzież na piękny, świeży włos, również polowano codziennie na przelotne ptaki uciekające do umiarkowanego klimatu.

Polowano też na białe zające, na gwizdźdale, coś z gatunku łabędzi, długie do 5 stóp, upierzone na biało, a na głowie i ogonie na miedziano.

Podczas polowania, które mogło trwać zaledwie kilka godzin, spotykano całe bandy wilków, które z zuchwalstwem zbliżały się już nieraz do przystani.

Mając bardzo delikatny węch, czuły zapach unoszący się z kuchni i to je ciągnęło do mieszkania podróżnych.

W nocy słyszano ich złowróżbne wycie, jakby ostrzegające przed napaścią.

Zwierzęta te, pojedynczo spotykane, łatwo dadzą się pokonać, ale gdy włączą się całymi stadami, grożą niebezpieczeństwem.

Toteż nasi podróżni, zawsze wychodzili uzbrojeni, aby w razie napaści mieć się czym obronić.

Niedźwiedzie również zbliżały się do domostwa i nie było dnia, żeby nie dawano sygnału, że są już niedaleko od podróżników.

W nocy zbliżały się do muru. Kilka z nich zostało ranionych tuż pod domem i uciekło zostawiając krople krwi na śniegu.

Ale od 10 października ani jeden z tych drapieżników nie był zabity. Umiały zawsze umknąć w porę. W pierwszych dniach listopada zerwał się straszliwy wiatr i śnieg upadł obficie, pokrywając ziemię na dużą wysokość.

Trzeba było robić teraz ścieżkę do stajni i spizarni, przejść bowiem było niepodobieństwem. Mieszkańcy składnicy futer musieli teraz nosić łyżwy, na których sunęli z niezwykłą szybkością. Paulina Barnett nosiła też łyżwy i mogła rywalizować w szybkości ze swymi towarzyszami.

14 października ścisnął okrutny mróz i trudno było wyjść, groziło to bowiem zamrożeniem.

Wszelkie więc prace ustały, tym bardziej że dzień trwał zaledwie kilka godzin.

Zastawiono teraz w kilkudziesięciu miejscach sidła na zwierzęta i ptaki, które jeszcze nie odleciały i przebywano przeważnie w domu.

12 listopada kolonii przybył nowy członek. Pani Mac Nap, jedna z podróżnych powiła syna, zdrowego i dobrze zbudowanego, z którego ojciec był niezmiernie dumny.

Paulina Barnett została chrzestną matką dziecięcia, któremu dano imię Michał–Nadzieja. Chrzciny były wielką uroczystością i dzień ten był wielkim świętem w kolonii, ze względu na to, że mała istotka ujrzała światło dzienne pod 70 stopniem szerokości geograficznej!

W kilka dni potem słońce skryło się zupełnie na dwa miesiące i rozpoczęła się podbiegunowa noc.

Noc ta odznaczała się gwałtowną burzą. Mróz był być może, trochę słabszy, ale wilgoć w atmosferze była nadzwyczajna.

Pomimo wszelkich możliwych środków użytych na to, aby zimno nie dostawało się do wnętrza, wilgoć przeniknęła do mieszkań i dokuczała podróżnikom.

Śnieg padał ogromnymi płatkami, wyjść i otworzyć drzwi było niemożliwością, jednym słowem, mieszkańcy stali się więźniami. Szalone wichry wyły jednym ciągiem bez przerwy, obawiano się zawalenia domu, ale na szczęście zbudowany był bardzo solidnie, wreszcie śniegi okoliły go tak silnie, że stanowiły jakby jego podporę.

Mac Nap, który był głównym budowniczym, obawiał się tylko o całość kominów i często je poprawiał, i umacniał.

Życie w kolonii ułożyło się teraz po rodzinnemu. Wszyscy mieli do siebie zaufanie, każdy zwierzał się ze swych myśli.

Paulina Barnett czytywała często dla rozerwania siebie i towarzystwa, grano w karty dla zabawy tylko, a nie dla wygranej, prócz tego naprawiano bieliznę, robiono obuwie, czyszczono broń.

Każdy miał wyznaczony swój roboczy przydział i pilnował tego gorliwie. Dzięki temu panował wzorowy ład.

Burze nie ustawały ani na chwilę, straszliwe zadymki zakrywały i tak ciemne niebo i niesione wichrem leciały w dal.

Okna i drzwi domu były wciąż zamknięte, z czego wytworzyło się ogromnie ciężkie powietrze. Hobson chciał użyć do odświeżenia atmosfery pomp powietrznych, ale były tak zasklepione lodem, że działać nie mogły.

Postanowiono więc posłuchać sierżanta Longa i jedno z okien otworzyć.

Nie było to jednak tak łatwe, jak się zdawało. Lufciaki były mocno przymarznięte i zasypane taką warstwą śniegu, że mowy być nie mogło o ich otwarciu bez oczyszczenia i odgarnięcia z zewnątrz lodu i śniegowej zamieci...

Otwarto wreszcie jedno z okienek, przy pomocy wszystkich mieszkańców, i świeże powietrze nappełniło izbę, przesyconą i dymem, i nie opisaną ciężkością z powodu wilgoci.

Robiono to codziennie już z mniejszym wysiłkiem.

Tak przechodził powoli czas zimy podbiegunowej. Renifery i psy miały w stajniach obfite pożywienie, nie trzeba było więc ich odwiedzać w okrutne mrozy.

Już od dziesięciu dni podróżnicy żyli tak odosobnieni, zupełnie jak więźniowie, bez wychodzenia na świat —wydawało się to bardzo długie i bardzo męczące dla ludzi przyzwyczajonych do pracy na świeżym powietrzu, jakimi właśnie są żołnierze i myśliwi.

Powoli znudziło wszystkich i czytanie, i wesoła gra w karty, kładli się spać w nadziei, że ustanie wycie wichru i zawieje, ale budzili się przeświadczeni, że próżne to były nadzieje...

Śnieg sypał bez przerwy, kominy potrzaskały od mrozu i zlodowaciałe w środku nie przepuszczały dymu, który unosił się w pokojach, a burza nie ustawała na chwilę. Dopiero 28 listopada zaszła duża zmiana i burza ucichła.

Radość opanowała wszystkich, każdy chciał wyjść na świeże powietrze, rzucono się ku drzwiom, ale otworzyć je było niemożliwością, tak je zasypał śnieg i lód zasklepił, wyszli więc oknem. Mróz był duży, ale bez wiatru, przetrzymać więc można było to zimno.

Wyruszono do stajni, ze strachem myśląc o zwierzętach, które, być może, zostały zasypane śniegiem i zamarzły, cała bowiem stajnia była jednym lodowym blokiem i z wielkim trudem wybito otwór, z którego z radosnym piskiem i szczekaniem wybiegły psy, ciesząc się świeżym powietrzem oraz widokiem ludzi.

Wyszędłszy ze stajni, którą starannie zamknięto, podróżnicy odeszli kawałek drogi, aby przyjrzeć się prześlicznemu niebu, całkowicie usianemu gwiazdami.

Takiego nieba, tak błyszczącego od gwiazd, nie widział nikt z obserwujących to czarowne piękno.

Tomasz Black był zachwycony. Wpatrywał się w te cuda, wydając wciąż okrzyki pełne uwielbienia, klaszcząc w ręce z radości. Była godzina ósma rano. W godzinę potem mróz, wzmagający się co chwila, kazał szybko wracać do domu, do ciepłego komina.

Weszli wszyscy oknem, które zaraz zamknięto, i każdy z przyjemnością usiadł na swoim miejscu przy stole, na którym wkrótce ukazało się śniadanie.

Pomimo silnego mrozu Tomasz Black wolał obserwować gwiazdy, ale wcale mu się to nie udało.

Instrumenty wprost paliły mu ręce mrozem, skóra z palców trzymających lunetę zaczęła schodzić i przyklejać się do narzędzia. Musiał więc zrezygnować ze swej obserwacji, ale postanowił przyglądać się cudom bez lunety. Miał wracać, ale zatrzymał go niezwykły widok, jakby przed wstęp do ukazania się zorzy pomocnej na tym cudnym, jaśniejącym niebie. Na niebiosach utworzyło się białe koło, przetykane blad różowym cieniem, otaczające księżyc, który błyszczał jakby tysiącami brylantów.

W piętnaście godzin potem na niebo weszła przepiękna zorza pomocna.

Zjawisko to miało w sobie wszystkie barwy tęczy, między którymi dominował kolor czerwony.

W pewnych miejscach nieba zdawało się, że gwiazdy zalane są potokami krwi. Promienie drgały jak żywe, otaczając zblakły wobec ich barw i światła księżyc.

Żadne pióro nie zdoła opisać czaru tego zjawiska. Pół godziny gościła zorza na niebie, po czym znikła od razu, jakby czyjaś niewidzialna ręka zamknęła elektryczne źródło, które ożywiało zjawisko. Był już dobry czas dla Tomasza Blacka do powrotu do domu.

Jeszcze pięć minut dłużej, a już zmarzłby na śmierć!

Rozdział XI

2 grudnia było straszliwe zimno. Wilgotna i przenikliwa para unosiła się w powietrzu zamrażającym swym podmuchem wszystko, co spotkała na drodze.

Dostrzeżono na zamarzniętym śniegu mnóstwo śladów niedźwiedzi i lisów i założono nad głębokimi jamami sidła.

Pewnego razu jeden z myśliwych kolonii, zwiedzając miejsca, na których ustawione były pułapki, nachyliwszy się nad jedną z nich, usłyszał przeciągły ryk i pomruk.

— To nie głos renifera — odezwał się do towarzyszącego mu myśliwego — to pomruk niedźwiedzia! Ale nie stracimy na tym zupełnie. Czy befszytk z renifera, czy z niedźwiedzia — to jedno, a skóra piękniejsza niż tamtego.

Dwaj myśliwi mieli ze sobą strzelby, wystrzelili w głąb jamy i uśmiercili prześlicznego białego niedźwiedzia.

Najtrudniejszą sprawą było wyciągnięcie go z jamy. Musiano wezwać jeszcze kilku z kolonii i wtedy to po wyciągnięciu olbrzyma ujrzano okaz najpiękniejszego gatunku, tego rodzaju zwierząt podbiegunowych. Futro było prześlicznej białości, bez żadnej ciemnej plamki, puszyste i niezwykle piękne.

Zdarto skórę ze zwierzęcia, a najlepsze części jadalne dano do kuchni.

W następnych dniach złowiono w sidła dużą ilość mniejszych zwierząt i kilka srebrzystych zajęcy. Błękitne były za przebiegłe, żeby wpaść w pułapkę, w ogóle wszystkie gatunki lisów są ostrożne, a czasem, chociaż nawet się złapią, odgryzają łapę i uciekają bojąc się niewoli lub śmierci.

Dziesiątego grudnia śnieg znowu zaczął padać, ale zamarzał natychmiast.

Hobson, bojąc się, aby któryś z mieszkańców nie dostał szkorbutu, który zawsze w tamtych strefach panuje podczas zimy, dał wszystkim po proszku na rozgrzanie i sok z cytryny.

Na szczęście, do tej pory nikt jeszcze nie chorował, wszyscy cieszyli się wybornym zdrowiem.

Przez kilka dni naprawiano i wzmacniano ogrodzenia koło domu ze względu na możliwość napaści ze strony dzikich zwierząt, których ryki rozlegały się naokoło domu. Tymczasem zaszło pewne zdarzenie świadczące o tym, że i w miejscu bezludnym, nie jest się zupełnie samotnym.

Pewnego ranka, 14 grudnia, sierżant Long powróciwszy z wycieczki, zaraportował na koniec, że o ile go oczy nie mylą, gromada jakichś najeźdźców mieściła się o 4 mile od portu.

— Któż to taki? — spytał porucznik Hobson.

— Są to albo ludzie, albo morsy! — odpowiedział poważnie sierżant. — Coś pośredniego!

Hobson zrozumiał. Wielu z naturalistów uznawało podobieństwo Eskimosów do morsów i fok.

Zaraz po otrzymaniu tej wiadomości, Hobson, Paulina Barnett, Magdalena i kilku żołnierzy wyruszyli zobaczyć owych przybyszów.

Po godzinie spaceru sądzono, że sierżant omylił się, że rzeczywiście były to albo zwierzęta, albo złudzenie wzroku, nikogo bowiem nie zauważono na swej drodze.

Ale sierżant Long spostrzegł coś szarego wychodzącego z bryły śniegowej i wskazując na to rzekł:

— Oto dym od morsów! Od ich siedziby, panie poruczniku! W tej chwili dwie żywe istoty wyszły ze śniegowej chaty ślizgając się na łyżwach. Byli to Eskimosi, ale mężczyźni czy kobiety tego nie można było poznać, bowiem wszyscy byli jednakowo ubrani.

Rzeczywiście podobni byli do fok lub morsów. Było sześć osób: czworo dorosłych i dwoje małych.

Mieli oni ogromnie szerokie barki, co przy niskim wzroście zwracało uwagę wszystkich, spłaszczony nos, małe oczy pod ogromnymi powiekami, wielkie usta, o grubych wargach, czarne, długie włosy, twarz bez zarostu.

Odziani byli w ubranie ze skóry morsa, w baszłyk, buty i rękawice z tego samego materiału co i ubranie.

Istoty te, na pół dzikie, zbliżyły się do Europejczyków i przyglądały się im ciekawie.

— Czy nikt z towarzyszy nie umie po eskimosku? — spytał Hobson swego otoczenia.

Nikt nie znał ich mowy, ale raptem jakiś głos zabrzmiał wśród ciszy po angielsku.

— Witajcie! Witajcie!

Był to głos Eskimoski, która zbliżywszy się do Pauliny Barnett, podała jej rękę.

Zdziwiona podróżniczka odpowiedziała paroma słowami, które zostały doskonale zrozumiane. Zaproszono rodzinę dzikusów do portu.

Eskimosi zdawali się porozumiewać wzrokiem, co robić, w końcu zgodzili się na tę wizytę i wyruszyli razem wesoło.

Kiedy przybyli do portu, Eskimoska zaczęła klaskać w ręce z radości, wołając — dom! dom!

Sądziła, że to domek ze śniegu, jak ich tam na lodowej przestrzeni, cóż za zdziwienie ogarnęło

wszystkich, gdy wszedłszy zobaczyli olbrzymią, umeblowaną, wygodną salę, piec i stół zastawiony naczyniami.

Zdjęto z nich rękawice i baszłyki i usadzono koło stołu.

Teraz można było rozróżnić kobiety. Były to młode istoty z włosami przetykanymi zębami i pazurami niedźwiedzi, namaszczonymi tak tłuszczem foki, że włosy były kompletnie zlepione.

Dzieci było dwoje od 4–5 lat. Rozbudzone patrzyły szeroko otwartymi oczami na obecnych, nie rozumiejąc, co się z nimi dzieje.

Mężczyźni mieli około pięćdziesięciu lat, kolor cery był żółtawo–czerwony, ostre zęby. Podobni byli bardziej do zwierząt niż do ludzi.

Na rozkaz porucznika wniesiono żywność, na którą rzucono się z żarłocznością. Tylko młoda Eskimoska jadła wstrzemięźliwie i z pewną umiejętnością.

Jak się okazało, młoda kobieta służyła przez cały rok u gubernatora, którego żona była Angielką. Stąd znajomość języka i europejskie ułożenie.

Po nasyceniu się i wypiciu sporej ilości wódki, za którą Eskimosi przepadają, używając jej od dziecięcych lat, pożegnano się, prosząc o odwiedzenie nazajutrz ich chatki.

Obiecano, o ile będzie pogoda, a że nazajutrz było bardzo ładnie i sucho, Paulina Barnett wraz z Magdaleną, porucznikiem i paroma z kolonii skierowała się w stronę Eskimosów.

Na spotkanie ich wyszła młoda Eskimoska, wprowadzając do swej śniegowej chatki. Niewygodne było tam wejście. Otwór taki maleńki, że zaledwie precyzyjnie się było można, ale trudniejsza jeszcze była możliwość wysiedzenia kilku minut w tej chacie.

Brak powietrza, nieprzyjemny odór z lampy i skór rozwieszanych koło komina mieszał się z oddechem tylu osób i sprawiał, że Paulina Barnett czuła, iż lada chwila zemdleje. Wyszła po pięciu minutach męki i natychmiast jej twarz nabrała żywych rumieńców, wskutek świeżego powietrza.

Eskimosi odwiedzali jeszcze port parę razy, po ośmiu zaś dniach pobytu, gdy upolowali dostateczną ilość morsów, po które tu właśnie przybyli, zmuszeni byli wracać do siebie.

Pożegnani serdecznie i obdarzeni dużą skrzynią z żywnością odjechali na saniach, dziękując dobremu Europejczykom za dary i za gościnność.

Eskimoska ofiarowała przy pożegnaniu cynowy pierścionek, w zamian za to Paulina Barnett dała jej bursztynowe paciorki, które z nie opisaną radością włożyła sobie na szyję.

Eskimosi obiecali latem odwiedzić port „Nadzieja”, po czym też jeszcze pożegnawszy ze łzami swych dobroczyńców, zniknęli w gęstej zimowej mgle na zachodzie.

Rozdział XII

Piękna i sucha pogoda trwała jeszcze dni kilka.

Porucznik Hobson cieszył się, że tu właśnie zbudowano port, ogromna bowiem ilość zwierzyny pozwoliła w krótkim czasie zapełnić składy najpyszniejszymi futrami, a spiżarnie wyborowym mięsiwem.

Sidla zastawione złowiły dużą ilość białych zajęcy, wiele z wilków zastrzelono, broniąc się od napaści. Przychodziły one bandami pod dom wyjąc przeraźliwie i wtedy wystrzeliwano je bez miłosierdzia.

Widziano również bardzo bliskie ślady niedźwiedzi i czatowano na nie bez ustanku. 25 grudnia znów musiano zaprzestać wszelkich wycieczek.

Wiatr zmienił kierunek, przeszedłszy na północ, a tymczasem mróz doszedł do najwyższego stopnia.

Niepodobna było przebywać na świeżym powietrzu bez obawy odmrożenia któregoś z członków.

Zanim zamknęli się w mieszkaniach, Hobson kazał zapełnić stajnię żywnością dla reniferów i psów pociągowych, bojąc się głodu przez kilka tygodni, które zapewne zmuszą mieszkańców fortu do siedzenia wciąż w domu. 25 grudnia było święto Bożego Narodzenia uroczystie obchodzone u Anglików.

Na stole wigilijnym znalazło się wszystko, co znajduje się i na stołach europejskich w ten święty dzień.

Był i olbrzymi pudding, dzieło pani Żolif, i poncz dymiący na stole.

Zapalono wszystkie światła, a wtedy sala nabrała fantastycznego wyglądu.

Wtem silne światło wpadło do okien i czerwonym blaskiem napełniło salę.

Wszyscy skoczyli na równe nogi, pytając siebie wzajemnie:

— Czyżby to pożar?

Ale ponieważ dom się nie palił, a innych zabudowań nie było, nie mógł to być pożar, lecz jakieś nieoczekiwane zjawisko. Porucznik zbliżył się do okna i zrozumiał powód tego blasku.

To wybuchały z dala wulkany. Cały horyzont był w ogniu. Nie wylewała się lawa, lecz wulkany wyrzucały z wnętrza płomyki, dla nikogo nieszkodliwe, oblewające całą ziemię i śniegi różnym blaskiem.

— To piękniejsze od zorzy północnej! — zawołała zachwycona widokiem Paulina Barnett.

Jeden Tomasz Black zaprzeczył tym słowom. Dla niego to tylko było piękne, co było zjawiskiem niebieskim, ziemskie, chociażby najcudniejsze, zwał pospolitym.

Wszyscy podeszli do okna i dopiero straszliwy mróz zmusił ich zasiąść z powrotem do stołu. Nazajutrz i w następne dni mróz doszedł do kulminacyjnego punktu. Sądono, że termometr nie będzie już miał stopni do wskazywania zimna.

Mróz był tak silny, że pomimo, iż piece napalone zostały do czerwoności, temperatura w pokojach dochodziła najwyżej do 2 stopni powyżej zera.

Najbliżej koło pieca siedziała matka z małym dzieckiem, które kołysała każda z osób, po kolei zbliżających się do pieca dla chwilowego rozgrzania się.

Zabroniono surowo otwierania drzwi lub okien, gdyż para zgromadzona w pokoju zamieniłaby się natychmiast w śnieg.

Ze wszystkich stron słyszano silny trzask, jakby łamanie i druzgotanie czegoś, co dla osób, nie przyzwyczajonych do podobnych odgłosów było przerażające.

Było to trzaskanie drewna z mrozu, pniami którego otoczono dla bezpieczeństwa dom i zagrody.

Pomarzęły likiery, wódki, piwo rozsadzało beczułki, drewno nie chciało się wcale zapalić i porucznik musiał używać dużo tłuszczu, aby utrzymać płomień w piecach.

Niezwykłym zjawiskiem było to, że wszyscy czuli ogromne pragnienie, rozgrzewano więc wciąż wody owocowe i płyny i pito. Drugim zjawiskiem była senność tak wielka, że rozmawiając usypiali, nie mogąc opanować śpiączki.

Dzielna zawsze Paulina Barnett opanowując senność, starała się i drugich ustrzec od tego, to czytając, to opowiadając ciekawe rzeczy, to znów śpiewając pieśni, które chórem kończono.

Hobson spojrzawszy na termometr, przekonał się, że mróz coraz silniejszy.

31 grudnia rtęć zamarzała w rurce. Było wtedy 44 stopnie mrozu!

Nazajutrz, 1 stycznia, winszowano sobie wzajemnie i życzone w dalszym ciągu doskonałego zdrowia. 5 stycznia termometr spirytusowy wskazywał 52 stopnie zimna!

Hobson był zaniepokojony takim stanem temperatury. Bał się, że zwierzęta zaczną szukać łagodniejszego klimatu i opuszczą miejscowość, w której pobudowano handlową przystań. Prócz tego niepokoiły porucznika podziemne odgłosy i drżenia wewnętrzne.

W pobliżu były wulkany, mogło to się stać dla kolonii niebezpieczne.

Nie mówił nic nikomu o tych swych przypuszczeniach, nie chcąc napełniać trwogą, wszystko to

krył w sobie i dumał.

W straszliwe te mrozy nikt nie wychodził i nie wiadomo, czy renifery nie zjadły już swej żywności.

Nie było żadnego sposobu do zwalczania surowości temperatury.

Nieprzyjemna wilgoć zapełniała sale, lód czepiał się ścian, uciec od mroźnych powiewów, nawet w mieszkaniu, było niepodobieństwem.

Palono w piecu bez przerwy, ale pewnego dnia sierżant Long zawiadomił porucznika:

— Za kilka dni zabraknie nam drewna.

— Co? Drewna nam zabraknie? — zawołał Hobson.

— Chcę powiedzieć, panie poruczniku, że w obrębie domu mieszkalnego nie ma ani kawałka drewna, a iść po nie do składów — to znaczy utracić życie.

— Tak — odpowiedział porucznik — popełniliśmy wielki błąd budując magazyny z dala od mieszkań. Trzeba było zresztą wykopać jakieś bezpośrednie przejście z naszych mieszkań. Spostrzegłem to za późno, niestety. Ale któż mógł pomyśleć, że będziemy zimować w takich warunkach!

Powiedz mi, sierżancie, jaka ilość drewna znajduje się w domu?

— Tyle, żeby starczyło najwyżej na dwa lub trzy dni — odpowiedział sierżant.

— Miejmy nadzieję — uspokajał porucznik, że mróz zelżeje i że będziemy mogli wyjść po drewno do magazynów.

— Wątpię — odrzekł sierżant — pogoda prześliczna, gwiazdy świecą na firmamencie, wiatr utrzymuje się na północy i nie zdziwię się wcale, jeśli zimno trwać będzie kilkanaście dni aż do zmiany księżyca.

— A więc, mój drogi Longu — przerwał mu porucznik

— przyjdzie tragiczna chwila, a czy wtedy mamy pozwolić wszystkim umrzeć z zimna?

— Nie pozwolimy, mój poruczniku — odrzekł sierżant. Hobson uściśnął dłoń dzielnego sierżanta, którego przywiązanie było mu aż nadto dobrze znane.

Rozdział XIII

Szóstego stycznia około jedenastej rano, żołnierz wartownik stojący przy jednym oknie, z którego można było coś dojrzeć po zmyciu szyb gorącą wodą, wezwał sierżanta i pokazał mu jakieś poruszające się masy. Sierżant przyjrząwszy się rzekł spokojnie. — Niedźwiedzie!

W rzeczywistości pół tuzina tych zwierząt przyszło pod ogrodzenie i ujrząwszy dym wychodzący z komina, ruszyło ku domowi, gdzie byli zebrani nasi podróżnicy.

Hobson wydał przede wszystkim rozkaz, aby zabarykadowano okno, przez które mogłoby wejść po rozwaleniu szyb łapami, było to bowiem jedyne wejście, niczym nie zakryte.

— Teraz — odezwał się sierżant, po zabarykadowaniu okna, — ci panowie nie wejdą bez naszego pozwolenia. Możemy teraz zwołać radę wojenną.

— A więc, panie poruczniku — rzekła Paulina Barnett — niczego już nam nie brakuje w tej strasznej porze zimowania! Po mrozie niedźwiedzie na nas napadają.

— Jeszcze nie po mrozie — odparł Hobson, i właśnie ten mróz przeszkadza nam w wyjściu do walki, bo nas zabije... Nie możemy wyjść naprzeciw tym krwiożerczym bestiom!

— Ależ zwierzęta te na pewno stracą cierpliwość i odejdą — odpowiedziała podróżniczka. Hobson pochylił głowę z powątpiewaniem:

— Pani nie zna tych zwierząt. Straszliwa zima wygłodziła je i nie opuszczą naszej siedziby, o ile nie zmusimy ich do tego siłą.

— Czy pan się tego obawia? — spytała.

— Tak i nie — powiedział porucznik. — Niedźwiedzie, wiem, że nie wejdą do domu, ale my, nie mam pojęcia, w jaki sposób wyjdziemy w taki mróz, o ile to będzie konieczne!

Przez cały dzień czuwano nad tym, aby niedźwiedzie nie zaatakowały domu.

Bardzo często któryś z niedźwiedzi przystępował do okienka i kładł głowę, wydając przy tym głuchy, pełen wściekłości ryk. Wywoływało to ogólne przerażenie.

Postanowiono wywiercić w kilku miejscach w murze otwory, przez które można byłoby strzelać do zwierząt.

Dzień się skończył. Niedźwiedzie przychodziły i odchodziły na chwilę, powracając i okrążając dom dookoła, ale nie próbując napaści. Żołnierze czuwali przez całą noc, a koło godziny czwartej rano, zdawało się, że niedźwiedzie opuściły swe stanowisko.

Jakież było jednak przerażenie, gdy jeden z żołnierzy, około 7 przybiegł z oznajmieniem, że niedźwiedzie weszły na dach.

Hobson, sierżant i paru żołnierzy pobiegło schodami na strych, aby stamtąd strzelać do napastników.

Niepodobna było jednak wytrzymać okropnego mrozu. Powrócono więc natychmiast i Hobson odezwał się w te słowa:

— Niedźwiedzie są na dachu, niebezpieczeństwa dla ludzi nie ma, gdyż nie wejdą do mieszkania, ale jest obawa utraty zdobywanych z trudem skór zwierzęcych. Poszarpią je na pewno, gdy wejdą na strych, a przecież to własność Kampanii, i strzec jej dobra jest naszym obowiązkiem.

Proszę więc, kto może, niech nam pomaga zabrać futra i umieścić je w naszym mieszkaniu lub gdzieś w pobliżu.

Za kilka minut wszyscy pomagali porucznikowi, a za godzinę wszystkie futra zostały już przeniesione do dużej sali. Podczas tej czynności, niedźwiedzie spacerowały w dalszym ciągu na dachu, starając się zerwać z niego pokrycie.

Tymczasem drugi wróg czyhał na spokój mieszkańców.

Ogień zagasał, a nie było już drewna na dokładkę.

Wszyscy siedzieli przy piecu, tuląc się jedni do drugich, bo ogarniał ich chłód, bo mogli zmarznąć w mieszkaniu.

Ale nikt się nie skarżył, nawet kobiety po bohatersku cierpiały zimno. Pani Mac Nap konwulsyjnie przyciskała swe dziecię do zlodowaciałej piersi, a niektórzy żołnierze drzemali w gorączkowym śnie.

O trzeciej nad ranem porucznik spojrział na termometr i dostrzegł, że w mieszkaniu zapanował jeszcze większy mróz niż poprzedniego dnia.

Staął bezradny wobec grozy położenia, gdy raptem czyjaś ręka dotknęła jego ramienia.

Obrócił się — przed nim stała Paulina Barnett.

— Trzeba coś temu zaradzić, poruczniku Hobson, powiedziała mu energiczna kobieta — nie możemy tak ginąć bez ratunku!

— Ma pani słuszość — odpowiedział porucznik czując budzącą się w nim energię.

Zawołał zaraz sierżanta Longa, Mac Napa i jednego z żołnierzy i podszedł wraz z Paulina Barnett do okna, chcąc przekonać się, czy możliwe będzie wyjście na dwór.

Ciepłą wodą odwilżono lód pokrywający szybę i wyczytano na zewnętrznym termometrze 72

stopnie mrozu.

— Mamy dwie rzeczy do wyboru, moi przyjaciele, przemówił Hobson. — Albo narażać swe życie dla zdobycia drewna, albo palić po kolei: stoły, drzwi, ławki, w ogóle wszystko drewniane.

— Ryzykujemy — odezwał się sierżant.

Zaczęto przygotowywać się do wyprawy na podwórze po drewno i pierwszym, który miał wyruszyć o 50 kroków od domu, był sierżant Long.

Przewiązано go sznurem, trzymanym w domu przez towarzyszy, aby w razie nabrania już drewna, mógł dać znać poruszeniem, żeby go czym prędzej wciągnęto.

Ubrany w ciepłe futra i przewiązany wpół sznurem, sierżant wypił pół szklanki wódki dla rozgrzewki i wyruszył po drewno.

Pierwsze drzwi od korytarza zostały otwarte. Wionął podmuch przerażającego mrozu, który pomimo futer przeniknął do głębi sierżanta i tych, którzy mieli w korytarzowych drzwiach trzymać sznur bezpieczeństwa.

Wszedłszy w drugie drzwi, o mało nie zadławił ich mróz, tak był silny.

Wypuszczono sierżanta i oczekiwano znaku najwyżej jakieś kilka minut, a przejście musiało być tak szybkie, że niedźwiedzie nie powinny dostrzec sierżanta.

W dziesięć minut potem porucznik, Mac Nap i Rae podeszli do drzwi przedsionka, aby widząc ruch sznura szybko wciągnąć i sierżanta, i wózek z drewnem. Minął kwadrans i najmniejszego ruchu!

Hobson przeraził się na dobre. Zawołał żołnierzy i postanowił ciągnąć sznur.

Pociągnęli energicznie i poczuli, że u sznura wlecze się coś, ślizgając się po lodzie.

W kilka minut potem przedmiot ten został wciągnięty do sieni...

Było to ciało sierżanta. Biedak nie zdołał dojść do magazynu i zemdłał, a leżąc na mrozie przez dwadzieścia minut, już nie mógł być żywy.

Mac Nap i Rae, wydając okrzyki rozpacz, zanieśli ciało do sieni, ale w chwili, gdy porucznik chciał zamknąć furtkę, poczuł gwałtowne pchnięcie i straszliwy ryk rozdarł powietrze.

— Na ratunek! — zawołał Hobson. — Do mnie! Na wołanie to nadbiegła Paulina Barnett i z całą siłą przytrzymała drzwi z porucznikiem.

Ale okrutna bestia, opierając się swoim olbrzymim cielskiem o drzwi domu, nie dopuściła do ich zamknięcia.

Kobieta wyrwała zza pasa Hobsona jeden z pistoletów i oczekiwała spokojnie na ukazanie się

paszczy zwierzęcia.

Zaledwie wysunął się łeb niedźwiedzia, Paulina wpakowała kulę w otwartą paszczę napastnika i z westchnieniem ulgi ujrzała padającego z rykiem potwora.

Drzwi zamknięto, ciało zaś sierżanta przeniesiono do dużej sali i ułożono na piecu.

Ale ostatnie węgle już zgasły, jakżeż ożywić zmarzniętego?

— Pójdę! Pójdę przynieść drewna! — zawołał Rae.

— Tak pójdziemy razem — odezwał się przy nim głos jego żony.

— Nie, moi przyjaciele! — zawołał Hobson. — Nie unikniecie zmarznięcia lub śmierci od niedźwiedzi! Palmy wszystko, co może być spalone!

I wtedy ci nieszczęśliwi, na pół zmarznięci rzucili się do rąbania stołów, ław i stolików.

Chwila jeszcze, a piec w kuchni i w dużej sali rozlewał wokoło blaski i ciepłe powiewy płomieni.

Temperatura w pokoju zmieniła się natychmiast i zaczęto cucić sierżanta.

Rozcierano mu ciało wódką i flanelą, wiano do ust wódki i powoli, powoli, obieg krwi został przywrócony, a białe plamy poczęły znikać.

Ale sierżant cierpiał straszliwie i przez długi czas nie mógł przemówić ani słowa.

Położono go w ogrzonym łóżku i Paulina Barnett wraz z Magdaleną czuwały przy nim całą noc.

Hobson zaczął myśleć o tym, co będzie, gdy zabraknie opału. To, co zdobyli kosztem swych wygód, starczyć mogło zaledwie na parę dni.

Mróz nie zelżał, przeciwnie stawał się coraz silniejszy, nie pomogła i zmiana księżyca.

W mieszkaniu, wskutek ciepła, wszyscy zaczęli się ruszać zwawo, jaśniej patrzeć na świat. Pani Żolif ugotowała gorące śniadanie, przyrządziła poncz, który mógł już pić także sierżant — jednym słowem było weselej i żołnierze nabrali takiego animuszu, że gotowi byli iść na niedźwiedzie.

Ale Hobson nie chciał narażać na niebezpieczeństwo swych ludzi, oczekując odejścia zwierząt.

Dzień wydawał się przemijać spokojnie, gdy naraz koło 3 po południu, dał się słyszeć nie opisany hałas w przedsionku i koło domu.

— Oto już są! — krzyknęli żołnierze, chwytając za broń.

— Niech nikt nie schodzi ze swego miejsca! — zawołał porucznik spokojnym głosem.

Usłyszano straszliwy hałas, stuk, ryk zwierząt, które oderwały kawałek pokrycia dachu i chodziły po strychu.

Ale najgorsze to to, że niedźwiedzie swym ciężarem rujnowały komin.

Zgromadziły się na dachu w bliskości ciepłego komina i uderzając swym ogromnym cielskiem o cegły, zrzucały je z hałasem.

Było to prawdziwe nieszczęście i nic dziwnego, że ludzie, nawet tak dzielni, byli zrozpaczeni.

W chwili, gdy ognie pogasły, gęsty dym zappełnił pokój, tak gęsty, że pogasły lampy.

Trzeba było opuścić mieszkanie, jeśli się chciało ratować od uduszenia, a wyjść na podwórze, oznaczało przecież niechybną śmierć!

Dały się słyszeć krzyki mdlejących kobiet, atmosfera była nie do zniesienia.

— Przyjaciele! — zawołał Hobson, porywając siekierę — na niedźwiedzie! Na niedźwiedzie!

Był to jedyny ratunek! Trzeba było pozbyć się za wszelką cenę tych zwierząt.

Wszyscy bez wyjątku wyruszyli na niedźwiedzie, z Hobsonem na czele weszli na drabinę prowadzącą na strych i rozpoczęła się walka.

Słychać było krzyk pomieszany z przeraźliwym rykiem zwierząt, a walczone wśród zupełnych ciemności.

Ale w chwilę po rozpoczęciu walki dał się słyszeć huk, grzmoty i ziemia drzeć i trząść się zaczęła.

Dom pochylił się ku ziemi, mury rozstały się i przez szpary Hobson i jego towarzysze zobaczyli uciekające z rykiem niedźwiedzie!

Rozdział XIV

Gwałtowne trzęsienie ziemi nawiedziło ten kawałek lodu.

Hobson wiedział, co to było i czekał jeszcze na coś straszniejszego. Był pewny, że zostanie wraz ze wszystkimi pochłonięty przez ziemię.

Ale na szczęście było tylko to jedno wstrząśnienie, potem słabe pochylenie domu w stronę jeziora i nastąpił zupełny spokój. Ziemia weszła znowu w stan bezwładu i ciszy.

Zaczęto naprawiać zepsucia, zreperowano kominy, opatrzone rany żołnierzy, których podrapały trochę niedźwiedzie.

Przez kilka dni palono resztę krzesel i łóżek, nawet podłogi, bowiem wyjść do składu było niepodobieństwem.

Jednakże, w kilka dni po tym ostatnim wypadku, Hobson zauważył zmianę w atmosferze.

Gwiazdy nie błyszczały tak silnym blaskiem, niebo nie było tak jasne, a termometr wskazywał o kilka stopni mrozu mniej.

Mgły i pary zaczęły się unosić w powietrzu, stanowczo zaczynała się zmiana na lepsze.

12 stycznia wiatr przeskoczył na południowy zachód, śnieg zaczął padać, a termometr pokazywał zimno o 15 stopni mniejsze od poprzedniego.

Dla mieszkańców wyspy, tak bardzo doświadczonych, była to ogromna radość.

Tego szczęśliwego dnia, o godzinie 11 wszyscy wyszli z domu, trzymając się jednak blisko fortu, aby nie narazić się na spotkanie z niedźwiedziem.

O tej porze słońce jeszcze nie ukazywało się na horyzoncie, panował zmrok, ale w każdym razie było już jaśniej niż dotąd podczas mrozów.

Ujrzano poważne zmiany jakich dokonały trzęsienia ziemi. Cała masa lądu pochylona była ku jezioru, a cała ziemia ku zachodowi i wzniesiona ku wschodowi.

Ani portu Barnett, ani rzeki Pauliny nie było widać — znikły zupełnie!

— Panie poruczniku — odezwała się podróżniczka — nie ma już ani portu, ani rzeki mego imienia. Nie mam szczęścia!

— Rzeczywiście, nie ma ich! — odpowiedział porucznik — ale, jeśli pani pozwoli, nazwiemy

jeziro pani nazwiskiem. Ono będzie na pewno wierne i nie zginie nawet po trzęsieniu ziemi!

Pani Żolif najpierw odwiedziła stajenkę, gdzie znalazła psy — zdrowe i wesołe, renifery trochę wychudzone, ale przy życiu, tylko jeden już nie żył i to od niedawna.

— Widzi pani — rzekł porucznik — wszystko dobrze, wybrnęliśmy z nieszczęść i to tak świetnie, że się nawet nie spodziewaliśmy!

— Zawsze byłam pełna nadziei i otuchy — odpowiedziała Paulina Barnett — mając przy sobie takich ludzi, jak pan i jego podwładni.

— Pani energia, świetny humor, pogodne usposobienie sprawiły, żeśmy mieli zapał, żeśmy nie upadli pod ciężarem ciężkich doświadczeń i pani dziękuję w imieniu moim i wszystkich mych towarzyszy!

— Zapewniam pana, panie Hobson, że pan przesadza...

— Nie, nie przesadzam, i to, co ja mówię w tej chwili, powtórzą wszyscy.

Ale pozwól pan zapytać o pewną rzecz.

W czerwcu kapitan Craventy przyśle do nas żywność, a ci, co do nas przyjadą, zabiorą cały transport naszych futer.

Prawdopodobnie i nasz astronom Tomasz Black wyruszy z tą ekspedycją do kraju.

Czy szanowna pani zechce z nim od nas odjechać?

— Czy chce pan mnie odesłać, panie Hobson? — zapytała uśmiechając się podróżniczka.

— Ach! pani...

— A więc, mój poruczniku — odparła Barnett, wyciągając dłoń do Hobsona — serdecznie pana proszę o pozwolenie spędzenia jeszcze jednej zimy w porcie „Nadzieja”.

Na przyszły rok pojedę z Kampanią drogą na Zatokę Beringa.

Porucznik zachwycony był tym, co odpowiedziała podróżniczka. Żywił do niej gorącą sympatię i nawzajem był przez nią darzony życzliwością i serdecznym zaufaniem.

Dwudziestego stycznia skończyła się noc podbiegunowa. Po raz pierwszy ukazało się na chwilę słońce i powitane zostało wesołymi okrzykami podróżnych.

Od tej pory długość dnia zaczęła wzrastać.

Od lutego do 15 marca dni były jeszcze bardzo zimne i niepokodne. Albo mróz, albo śnieżyce panowały w tym czasie bez przerwy. W takie dni niepodobna było polować i dlatego zajmowano się

przez kilka tygodni pracą w domu.

I bez polowania w zastawione sidła wpadały przeróżne zwierzęta, których piękne i cenne futra szybko zapełniały skład napawając dumą tych, którzy dla Kampanii przysposabiali tak duży ich zasób.

Około 20 marca ukazały się łabędzie, lecące wielkimi stadami ku pomocy, wydając przeraźliwy gwizd.

Ale ziemia i morze były jakby jednym lodowcem, śnieg leżał wszędzie i o ciepłe nie było mowy.

Dopiero w pierwszych dniach kwietnia zaczęło topnieć, a 15 tegoż miesiąca nie było ani kawałka lodu, ani mrozu.

Ziemia pokrywała się powoli mchem i roślinkami, ozimina zasiana przez panią Żolif też wzeszła i zazieleniła ziemię.

Długie dni powróciły i rozpoczęły się polowania.

Spodziewano się przybycia ludzi z Kampanii i starano się upolować jak najwięcej soboli i lisów.

Niedźwiedzi nie widziano wcale od czasu trzęsienia ziemi, nie znajdowano nawet ich śladów.

Widocznie wstrząs ziemi spowodował ich ucieczkę, są to bowiem zwierzęta bardzo nerwowe.

Maj był bardzo dżdżysty, padał też śnieg, mgła rozpościerała się tuż nad ziemią, a tak bardzo gęsta, że trudno było trafić do portu.

Nadszedł czerwiec, zrobiło się pogodnie i bardzo gorąco, tak, że mieszkańcy wyspy zrzucili swe zimowe ubranie i zabrali się do reperacji domu...

Prócz tego Hobson kazał wybudować duży skład na pomieszczenie futer, ten bowiem, który był, okazał się za mały. Zwierząt było bardzo dużo, futer gromadziło się coraz więcej, terytorium okazało się bardzo odpowiednie na port.

Oczekiwano przybycia ludzi z Towarzystwa, dużo bowiem sprzętów brakowało do nowo zbudowanego pomieszczenia, trzeba było i więcej naboji, i mebli, brak było gwoździ, śrub itp.

Ale czerwiec minął, a kapitan nie przysłał posiłków.

Hobson przeraził się tym trochę, zwłaszcza, gdy gęste mgły zaczęły zasłaniać horyzont.

Wszyscy byli zaniepokojeni, a i astronom również obawiał się pozostać na zimę, bowiem obawiał się, że nie dotrzyma słowa danego uczonym, którzy go wysłali na obserwację księżyca.

Minęło kilka dni lipca, za dwa miesiące miała już nastać zima, a ekspedycji ani śladu!

18 lipca miało być oczekiwane przez Tomasza Blacka zaćmienie, na drugi dzień zaraz po obserwacji miał astronom wyjeżdżać z portu.

Postanowiono więc, o ile nikt by się nie zjawił do tego czasu, wysłać swoją ekspedycję wraz z Tomaszem Blackiem, która by jednocześnie zabrała ze sobą cały zapas najkosztowniejch futer i po upływie sześciu tygodni znalazła się w kolonii Zjednoczenia u kapitana Craventy. Po tym postanowieniu astronom poweselał i ożywił się.

Rozdział XV

Mgły nie ustępowały, słońce tylko czasami ukazywało się spośród chmur, smutne i zamglone. Martwiło to astronoma, który bał się, że obserwacja mu się nie uda.

Ale na szczęście 18 lipca słońce pięknie zajaśniało, wiatr rozproszył chmury i Tomasz Black był niewypowiedzianie uradowany.

Wszyscy chcieli być obecni podczas obserwacji czynionych przez uczonego i zebrali się z zadymionymi szklami do oglądania tak rzadkiego zjawiska.

Koło godziny dziesiątej rozpoczęło się oczekiwane zjawisko. Tarcza księżyca dotknęła tarczy słońca i zaczęła na nie wchodzić.

Wszystko na ziemi przybrało żółto–pomarańczową barwę, o dziesiątej zaś połowa tarczy słonecznej została zakryta.

Psy, biegające na swobodzie, poczęły wycić żałośnie, kaczki rzuciły w przestrzeń odgłosy wzywające do nocnego spoczynku, szukając przy tym odpowiedniego do snu miejsca, matki szukały swych piskląt, wzywając je do ułożenia się pod ich skrzydłami.

Dla wszystkich tych stworzeń, jakby noc nadeszła, a był to jeszcze ranek.

O godzinie 11 połowa słońca została zakryta, przedmioty nabrały barwy fioletowej.

Było już półzaćmienie, a za cztery minuty powinno nastąpić zupełne.

Pojawiły się planety: Merkury, Wenus i niektóre konstelacje, jak: Byk, Orion, Strzelec. Ciemności ogarnęły ziemię.

Tomasz Black bez ruchu, bez mowy, wpatrzony w słońce, które obserwował przez lunetę, bez oddechu prawie oczekiwał końca zjawiska.

Naraz skoczył ja oszalały, krzycząc na cały głos:

— Ależ księżyc ucieka! Ucieka! Niknie!

W rzeczywistości księżyc przepłynął jakby po słońcu tylko do połowy je zasłaniając i znikł, nie wywołując całkowitego zaćmienia.

Tomasz Black opadł na ziemię złamany tym ciosem.

— Co się stało? — spytał go Hobson zdumiony.

— To się stało! — wykrzyknął astronom — że zaćmienie nie było całkowite, że dla tej półkuli nie było zjawiska! Czy słyszy mnie pan? Zaćmienie częściowe!

— A więc pana obliczenia były fałszywe?

— Fałszywe! Patrzcie! Fałszywe! Mów pan to komu innemu, nie mnie! Panie poruczniku!

— A więc? — spytał zaniepokojony Hobson.

— Nie jesteśmy tam, gdzie myślimy...

— Co? — zawołała Paulina Barnett.

— Port Bathurst nie jest pod tym stopniem w jakim się znajdował, gdyśmy przybyli; zmienił swe położenie i dlatego zupełnego zaćmienia nie można było widzieć!...

Wszystko teraz było jasne dla porucznika, różne zmiany, różne zjawiska, wszystko!

Port Bathurst posunął się o trzy stopnie na pomoc!

Port Bathurst zbudowany był nie na gruncie nawet, nie na piasku nawet, ale na lodowcu!

Lodowiec ów z biegiem czasu pokrył się roślinnością i zielenią i wydawał się być ziemią.

Trzęsienie ziemi oderwało lodowiec od kawałka prawdziwego gruntu i zagnało go na północ. Stąd i obserwacja Tomasza Blacka nie była udana i wiele innych zjawisk.

Mniemana wyspa posuwała się powoli wraz z mieszkańcami ku oceanowi — co będzie dalej?

Hobson wiedział, że położenie ich jest prawdziwie rozpaczliwe, ale obdarzony silną wolą i niespożytą energią umiał stłumić w sobie poczucie grozy położenia, nie mówiąc nic swym towarzyszom o niebezpieczeństwie. Wiedziała o tym tylko Paulina Barnett i zrozpaczony, rwący sobie włosy astronom.

Biedny uczoney zmartwił się bardzo, że nie zobaczył tego, po co jechał i znosił trudy, biegał więc z jednego miejsca na drugie nie mogąc usiedzieć.

Włosy miał zjeżone, wzrok prawie błędny, klaskał w ręce, to znów opuszczał je z gestem rozpaczony...

Wreszcie wyciągnął pięść ku słońcu i spoglądał na nie bez przerwy, jakby grożąc za doznany zawód.

Uspokoiwszy się trochę, Tomasz Black podszedł do porucznika.

— Przyszedłem tu — przemówił — aby przypomnieć panu, że miał pan nas doprowadzić do pewnej granicy. Dlaczego stało się zupełnie przeciwnie?

— Omyliliśmy się, panie Tomaszu Black — oto wszystko — rzekł spokojnym tonem porucznik.

— Oto wszystko! — krzyknął astronom, którego irytował spokój, z jakim przemawiał Hobson.

— Dowiodę panu — odezwał się porucznik — że nie tylko ja byłem winien, pan zawinił podobnie.

Przecież po naszym przybyciu tutaj pan, jako astronom zmierzył stopnie równoleżnika, określił położenie Bathursta.

— Ale jak? W jaki sposób mogłem się omylić? — zawołał szarpiąc się za włosy uczoney. — Moje narzędzia miernicze są w porządku, ja sam nie jestem ślepcem... Co to znaczy?

— Panie Tomaszu Black — odpowiedział na jego wykrzyki Hobson — ani ty, ani ja nie jesteśmy niczemu winni.

Posłuchajcie mnie — zwrócił się do Pauliny Barnett, sierżanta i Magdaleny — ale proszę ani słówka nikomu o tym, co powiem — nie mówić... To wielka tajemnica, która musi być ukryta, ze względu na spokój tych ludzi.

Gdy przybyliśmy w te strony przed rokiem, przylądek Bathurst znajdował się tam, gdzie powinien być, teraz zaś jest o wiele dalej, z takiego powodu, że został oderwany. Ta wyspa, na której jesteśmy, jest wyspą lodową.

Trzęsienie ziemi oderwało ją od gruntu i teraz posuwa się z biegiem wód...

— Dokąd? — zapytał sierżant.

— Tam, dokąd się Bogu podoba!

Wszyscy stanęli w zdumieniu, ciszę przerwała Paulina Barnett.

— Biedny pan Black! — odezwała się do uczonego — przyznać należy, że żaden z astronomów nie miał tak dziwnych i ciężkich przeżyć!

Rozdział XVI

Nowa, nieprzewidziana sytuacja zmusiła Hobsona do ciągłego spoglądania na mapę.

Pływającej wyspie groziły dwa niebezpieczeństwa.

Albo uniesiona zostanie z biegiem wody ku biegunowi północnemu, gdzie czekałaby podróżników śmierć z mrozu, albo zapędzona na południe, straci swój lodowy fundament i skierowawszy się ku Oceanowi Spokojnemu, zatopi wszystkich w jego nurtach.

W końcu postanowił wraz z sierżantem i Paulina Barnett wyruszyć w okolice, aby się przekonać, czy nie ma gdzieś chociaż kawałka lądu w pobliżu, aby mieć jakieś oparcie w razie niebezpieczeństwa.

Obejrzano wszystkie strony, przespacerowano aż nad brzeg wyspy lodowej i nie zobaczono niczego prócz wód niezmiernych dookoła. Przekonano się przy tym, że pędzono teraz w kierunku wschodnim i że grubość lodu, który stanowił jakby fundament wyspy, coraz to ciemniał i ziemisty grunt pograżał się już nad brzegami w wodzie.

— Zagłębiamy się w morzu powoli! — zamruczał sierżant — pod spodem coraz mniej lodu!

— Ach! Zima! Zima! — zawołał Hobson, uderzając nogą o przeklęty grunt osadzony na lodowcu.

Pragnęli teraz zimy, tak jak przedtem pożąдали lata, a skłaniała ich do tego obawa przed zupełnym odtajeniem lodu, który ich jedynie utrzymywał na powierzchni.

Ale nie było żadnej oznaki, aby zima nadeszła, było zupełnie ciepło.

Mieszkańcy błędzającej wyspy czuli się dobrze. Pożywienia było dużo, pomimo że nie przysłano dotąd niczego z portu Zjednoczenia. Biszkoptów i sucharów nie brakowało, lekarstw również, co zaś do zwierzyny, to wciąż była świeża. Wszystkie zwierzęta, nie mogąc przejść gdzie indziej, rodziły się i mieszały na wyspie, dostarczając wybornego mięsa podróżnikom. Wszystkim, którzy nie wiedzieli o tym, w jakim są niebezpieczeństwie było tu bardzo dobrze. Wychwalano roztropność Hobsona w obraniu tutaj miejsca na składy, cieszą się z obfitości zwierząt i wygod.

Paulina Barnett wraz z Magdaleną zabrały się do szycia odzieży na zimę. Użyto do tego najcenniejszych i najcieplejszych futer ku zdumieniu wszystkich, ale taki był rozkaz porucznika Hobsona.

Pogoda była dotąd piękna, gdy naraz 27 sierpnia, niebo zachmurzyło się straszliwie, śnieg zaczął padać, burza wyrывała drzewa z korzeniami lub łamała pnie słabszych, Hobson z trudem wrócił z polowania do domu, widząc po drodze okropne spustoszenia.

Huragan trwał całe trzy dni i noce bez przerwy. Gdy ustał, porucznik poszedł rozejrzeć się wkoło,

gdy nagle, ku wielkiej swojej radości, spostrzegł duże łodygi amerykańskich roślin, widocznie wiatrem zanesione na wyspę. Ziemia musiała już być niedaleko.

Podzielił się swym spostrzeżeniem z sierżantem i postanowił iść z nim na wyprawę, aby być może, spostrzec już gdzieś z dala stały ląd.

Powiedziano o tym zamiarze Paulinie Barnett, która, jak zwykle, chciała im towarzyszyć i dopiero prośba Hobsona, aby pozostała w porcie i opiekowała się pozostałymi, skłoniła ją do zrezygnowania z wyprawy.

Wieczorem, o godzinie 9, gdy wszyscy, prócz podróżniczki, spali smacznie w swych łóżkach, Hobson i sierżant wyszli cicho z mieszkania. W korytarzu spotkali Paulinę Barnett, która chciała im raz jeszcze uścisnąć dłonie.

— Do jutra — powiedziała do porucznika.

— Tak, do jutra — odrzekł Hobson — do jutra... bez zawodu...

— A jeśli się pan opóźni?...

— Proszę w takim razie oczekiwać nas cierpliwie. Być może, iż będę chciał w dzień rozejrzeć się po okolicy...

— A jeśliby pan nie powrócił za dwa dni? — spytała podróżniczka.

— To będzie znaczyło, że nie wrócimy zupełnie! — odpowiedział spokojnie porucznik.

Drzwi się otwarły, Hobson wyszedł ze swym sierżantem, a Paulina Barnett zamknęła za nimi bramę i niespokojna, zadumana, chodziła po pokoju, gdzie czekała już na nią Magdalena.

Deszcz i wichura towarzyszyły obu podróżnym. Opierając się na laskach, podtrzymując się wzajemnie, szli obaj, rozglądając się dookoła.

Przeszedłszy cztery mile, usiedli pod drzewem, aby wypocząć, mieli jeszcze sześć mil do przebycia, tyle bowiem przestrzeni było do Przylądka Michała.

— Ciężka droga! — zawołał porucznik.

— O, tak! wichur i ulewa dają nam koncert. Ale dosyć wypoczynku, mój poruczniku!

— O, tak, dosyć wypoczynku! — powiedział Hobson. Poszli, a tymczasem ciemność załata horyzont, ani jednego światełka, naraz sierżant zatrzymał Hobsona.

— Tylko nie tędy! — odezwał się.

— Dlaczego?

— Bo tutaj morze!...

— Jak to! Morze! Ależ nie doszliśmy przecież do południowo-wschodniego brzegu!

— Proszę zobaczyć!

W rzeczywistości, fale uderzały o brzeg u stóp porucznika. Hobson zapalił krzesiwo i zbadał kierunek wskazówki w busoli.

— Nie — powiedział — to jeszcze nie jest morze, nie przeszliśmy jeszcze polanki oddzielającej nas od Przylądka Michała.

— A więc, co to być może, poruczniku?...

— Oderwany w czasie huraganu kawał naszej lodowej wyspy roztopił się i zamienił w wodę. Chodźmy dalej!...

„Hobson i sierżant poszli na prawo, w głąb wyspy, kierując się pasem wody, przepływającej u ich stóp.

Szli tak przez dziesięć mil, bojąc się, nie bez słuszności, aby nie zostali odcięci od południowej części swej wyspy.

Trwoga ogarnęła dzielnego człowieka. Któż zaręczy, że i z reszty wyspy nie będą się odrywały kawałki, czy dotrwają do zimy?

Tymczasem szli coraz dalej, trzymając się za ręce.

Raptem zerwała się straszliwa wichura i rozłączyła ich gwałtownie rzucając obu na dwie różne strony.

— Sierżancie! sierżancie! — zawołał z całej siły Hobson.

— Jestem tutaj! — odpowiedział spokojnie sierżant. Zaczęli ku sobie pełznąć, gdyż iść było niepodobieństwem, wreszcie dotarłszy do siebie, przywiązali się do swych pasów sznurem i w ten sposób szli nierozłączni, wreszcie wykopali jamę i zagłębili się w nią zmęczeni i rozbici nad miarę.

.Było wtedy wpół do dwunastej w nocy. Siedzieli bez słowa, przytuleni do siebie, a wokoło nich padały jodły i brzozy, drżała ziemia.

Wtem o wpół do trzeciej rano sierżant wykrzyknął:

— Widziałem!

— Co takiego?

— Ogień!

— Ogień?

— Tak!... tam... w tej stronie!

I wskazał ręką na południowy zachód. Czyżby się mylił? Nie! Hobson, spojrzawszy w tym kierunku ujrzał słabe światełko.

— Tak! mój sierżancie! widzę ogień! — ziemia jest blisko!

— A może to światło z okrętu? — zauważył sierżant.

— Okręt na morzu podczas tak szalonego huraganu! To niemożliwe! Mówię ci, że to ląd, i to bardzo blisko, o mil kilka zaledwie!

— A więc dajmy sygnał!

Zapalili ognisko z gałęzi i czekali, czy odpowie im ktoś w podobny sposób, ale nikt nie dawał już znaku życia.

Tylko, jakby z głębi morza wydarł się krzyk rozpaczony i ucichł...

W kilka minut potem zaczęło świtać, gwałtowność burzy o wiele zmalała, niebo zrobiło się jasne.

Wtedy podróżnicy spostrzegli, że nie było ani kawałka lądu w pobliżu, morze i morze dokoła.

Przez cały ranek Hobson i sierżant Long chodzili po wyspie.

Pogoda była piękna, deszcz ustał, wiatr tylko jeszcze dokuczał.

— A więc, mój poruczniku — odezwał się sierżant — trzeba pogodzić się z losem!

— Trzeba, mój sierżancie — odpowiedział Hobson — trzeba zostać na naszej wyspie i oczekiwać zimy! Ona tylko może nas uratować.

Było już południe. Hobson chciał wrócić do portu przed wieczorem i zdecydował się na powrót do domu.

Szli zadumani, myśląc nad tym, czy podczas huraganu wyspa nie rozpadła się na dwie części, czy nie są teraz oddzieleni od swych przyjaciół? Mogli się wszystkiego tego spodziewać!

Powrócili tą samą drogą, co i wczoraj, napotykając po drodze mnóstwo obalonych drzew, porzrzucanych liści.

Wtem porucznik ujrzał olbrzymi lodowiec, który odłączył się od wyspy i szedł w przeciwną stronę.

— Powoli spotka i naszą wyspę to samo — odezwał się do sierżanta — lody urywać będzie

huragan i potoniemy, o ile zima nie przyjdzie nam na ratunek.

— Co Bóg da, to będzie! — odrzekł sierżant spokojnie. O godzinie 4 weszli do domostwa i zastali swych towarzyszy przy robocie. Na drugi dzień, 3 września, śnieg pokrył ziemię, temperatura obniżyła się o kilka stopni, wyraźnie zbliżała się zima.

Nazajutrz Paulina Barnett wraz z Magdaleną wyruszyły z domu, aby zobaczyć zmiany, jakie zaszły wskutek huraganu.

Nie prosiły o żadnego z żołnierzy dla bezpieczeństwa, gdyż nie było się czego obawiać.

Niedźwiedzi nie było na wyspie, opuściły ją widocznie podczas pamiętnego trzęsienia ziemi, a innego niebezpieczeństwa nie było.

Obie kobiety nie mówiąc nikomu, że wychodzą, wyszły o godzinie 8, uzbrojone tylko w nóż i łopatę do odkopywania śniegu i skierowały się na zachód.

Paulina Barnett mogła doskonale przyjrzeć się przeróżnym zwierzętom, których futra zapełniłyby olbrzymie składy. Ale nie zabijano, bo i po co? Sami, błądzący po wyspie, nie mogli myśleć, że kiedyś na tym lodowcu zdołają dopłynąć do Zjednoczenia.

Te bezbronne zwierzęta, jakby rozumiejąc, że nikt na nie polować nie myśli, podchodziły do ogrodzenia domu i coraz bardziej oswajały się z ludźmi.

Pewnie instynkt im mówił, że są one takimi samymi więźniami na wyspie, jak i ludzie i jednakowy los je czeka.

O godzinie 9 obie kobiety przebyły już cztery mile, zauważywszy ze zdziwieniem, że im dalej były od mieszkalnego domu, tym mniej było zwierząt.

Widocznie uważały się za bezpieczniejsze przy ludziach i dlatego trzymały się w pobliżu domu.

W godzinę potem Paulina Barnett zauważyła ślady, które Magdalena przyjęła za odciski zwierzęcych stóp, czemu stanowczo sprzeciwiła się podróżniczka.

— Nie, to są ślady stóp ludzkich — rzekła do Magdaleny — musimy iść tą drogą, może napotkamy kogoś w tej stronie.

Poszły i po chwili Paulina Barnett ukazała odcisk jakiegoś ciała na śniegu, najwidoczniej ktoś tutaj padł, nawet wyraźnie odciśnięta była ręka.

— Ręka kobiety lub dziecka! — zawołała Magdalena.

— Tak — odparła podróżniczka — dziecka lub kobiety znużonej, cierpiącej, idącej ostatkiem sił... upadającej...

Uniosła się i poszła... Patrz! Ślady prowadzą dalej...

— Ale kto to? Kim mogła być ta istota? — spytała Magdalena.

— Któż to odgadnie? Może był tu ktoś, tak samo, jak my uwięziony na tej wyspie? A może burza wyrzuciła rozbitka... Przypomnij sobie, co mówił porucznik. Ten ogień, ten krzyk... Pójdźmy Magdaleno, może zdołamy kogoś uratować!...

I Paulina Barnett pociągnęła za sobą swoją towarzyszkę, kierując się wciąż śladami, między którymi zauważyła wyraźne krople krwi.

Ślady doprowadziły do Przylądka Eskimosów, ale naraz urwały się, była tylko jakby wąska ścieżka wygładzona czymś na śniegu. Widać było gdzieś kawałki poszarpanej odzieży, składającej się ze skór foki i futer.

— Chodźmy, chodźmy! — powtarzała Paulina Barnett, której serce uderzało gwałtownie.

Magdalena postępowała wciąż za nią. Przylądek Eskimosów był już o pięćset kroków.

Weszły obie na wierzchołek i nie zobaczyły nikogo.

Ale ślady prowadziły ku morzu...

Paulina Barnett skierowała się na prawo i w chwili, gdy dosięgała wybrzeża, zatrzymała ją Magdalena.

— Zatrzymaj się! — zawołała.

— Nie, Magdaleno! nie! — krzyknęła podróżniczka — pójdę!

— Zatrzymaj się i spojrzysz! — odrzekła Magdalena, zatrzymując swą towarzyszkę.

O pięćdziesiąt kroków od przylądka stała biała olbrzymiej wielkości masa i poruszała się, wydając głośnie ryki.

Był to niedźwiedź podbiegunowy, niepospolitej wielkości. Dwie kobiety stały nieporuszone, przyglądając mu się z nieopisaną trwogą.

Olbrzymie zwierzę chodziło w kółko, okrążając coś w rodzaju dużego pakietu ze skór leżącego na śniegu.

Podniósł potem ów pakiet do góry, na powrót rzucił na śnieg i powąchał.

Pakiet ten można było wziąć za nieruchome ciało morsa.

Paulina Barnett i Magdalena nie wiedziały, co o tym myśleć, gdy naraz opadł kaptur pokrywający głowę i wysunęły się z mniemanego pakietu długie ciemnej barwy kobiece włosy.

— To kobieta! — zawołała podróżniczka, rzucając się na ratunek.

— Zatrzymaj się! Niedźwiedź. On jej żadnej krzywdy nie zrobi!

Niedźwiedź, rzeczywiście, przyglądał się ciału kobiety, obracając je tylko, ale nie myśląc rozszarpać. Odchodził i wracał. Jakby zastanawiał się nad tym, co ma począć. Nie spostrzegł nawet dwóch kobiet, tak był zajęty obserwacją.

Wtem rozległ się jakby trzask. Ziemia zadrżała we wnętrzu, zdawało się, że Przylądek Eskimoski zaraz pograży się w morzu...

Oderwał się rzeczywiście olbrzymi kawał wyspy, unosząc niedźwiedzia i ciało kobiety.

Paulina Barnett wydała okrzyk i chciała się rzucić ku oderwanemu lodowcowi.

— Czekaaj, czekaaj jeszcze, moje dziecko! — wołała Magdalena, zatrzymując ją energicznie.

Na hałas wynikły z oderwania się kawałka wyspy, niedźwiedź wydał przeraźliwy ryk, zostawił ciało kobiety i skierował się ku oderwanej części wyspy. Jak oszalały biegał, szarpał grunt pazurami, rozsypywał wokoło siebie śnieg i piasek i znów wracał do bezwładnego ciała.

Potem, ku wielkiemu zdumieniu dwóch kobiet, złapał za leżącą odzież, przebył brzeg lodowca i wszedł w morze.

Kilkoma rzutami przepłynął wodę i skierował się ku brzegom wyspy.

Tutaj ułożył na ziemi ciało kobiety.

W tejże chwili Paulina Barnett wydarła się z rąk Magdaleny i skierowała się ku brzegowi wyspy.

Niedźwiedź ujrawszy ją, stanął na dwie tylne łapy i z głuchym rykiem szedł prosto na podróżniczkę.

Ale na dziesięć kroków przystanął, pochylił swą olbrzymią głowę, potem, jakby pod wpływem strachu i zdziwienia, wobec zmian zaszłych w przyrodzie, odwrócił się, wydał przeciągły ryk i spokojnie odszedł w głąb wyspy, nie obejrzawszy się nawet poza siebie.

Paulina Barnett podbiegła wtedy do leżącego bez ruchu ciała.

Krzyk wydarł się jej z piersi. — Magdaleno! Magdaleno! — zawołała. Magdalena podeszła, przyglądając się ciału kobiety. Było to ciało młodej Eskimoski Kalumah. Kalumah na pływającej wyspie, o dwieście mil od lądu! To było nie do uwierzenia!

Obie kobiety pochyliły się nad młodą Eskimoską, wypatrując w niej życia.

Z radością przekonały się, iż biło w niej serce. Bardzo słabo wprawdzie, ale uderzało jeszcze. Krew była tylko na ręce, którą zadrasnęła widocznie padając na lodowiec, Magdalena obandażowała ranę chustką i rozpoczęła wraz ze swą towarzyszką rozgrzewać i przywracać dziewczynę do życia.

Wlały jej w usta odrobinę wódki i nacierały skronie i ręce.

Upłynęło kilka minut. Obie ratowniczkę czekały przerażone na rezultat swych zabiegów — życie w leżącej przed nimi Eskimosce zaledwie tliło się i mogło lada chwila zgasnąć.

Wtem lekkie westchnienie wyszło w piersi Kalumah, ręce poruszyły się słabo i zanim jeszcze oczy zdołały się otworzyć, wyszeptała te słowa:

— Pani Paulina! Pani Paulina!

Podróżniczka zdumiała się, słysząc swe imię wymówione w takich okolicznościach.

— Żyje! Życ będzie! — zawołała uradowana Magdalena, która poczuła pod swą ręką ożywiające się ciało.

— Nieszczęśliwe dziecko! — szeptała Paulina ze wzruszeniem. — Moje imię wymawia w tak strasznej chwili, może w chwili śmierci!

Ale Kalumah nie umarła. Otworzyły się oczy, wzrok był jeszcze błędny, nieświadomy, jakby nieprzytomny, ale padł od razu na podróżniczkę.

Eskimoska poznała dobrą panią, imię jej padło raz jeszcze z jej pobladłych ust, a ręka znalazła się w dłoni wzruszonej Pauliny Barnett.

Starania kobiet odniosły pożądany skutek.

Kalumah, której wycieńczenie pochodziło nie tylko ze znużenia i mrozu, lecz i z głodu, zaczęła przychodzić do zupełniej przytomności.

Od czterdziestu ośmiu godzin młoda dziewczyna zupełnie nie jadła, kilka kawałków zimnej zwierzyny i trochę wódki przywróciły jej siły i, w godzinę potem, Kalumah mogła ruszyć w drogę ze swymi wybawicielkami.

Podczas tej godziny wypoczynku Eskimoska dziękowała za uratowanie jej od śmierci, po czym opowiedziała całą swą historię...

Nie mogła żyć bez dobrej pani, porzuciła Eskimosów i poszła szukać Europejczyków. Nie przypadek więc, lecz tęsknota rzuciła ją na pół martwą nad brzeg lodowej wyspy!

W kilku słowach powtórzmy tu, co powiedziała młoda dziewczyna.

Obiecała Europejczykom, że przyjedzie na następny rok, podczas lata.

Nadszedł maj, Kalumah postanowiła wykonać swą obietnicę. Opuściła więc strony, w których spędziła zimę i w towarzystwie jednego ze swych braci, skierowała się ku Wyspie Wiktorii.

W sześć tygodni potem, w połowie czerwca, przybyła do Nowej Bretanii, która znajdowała się w

sąsiedztwie z portem Bathurst.

Rozpoznała doskonale wulkaniczne góry i o dwadzieścia mil dalej natrafiła na zatokę morsów, gdzie ona i jej rodzina tak często polowali na te zwierzęta.

Ale jakie było jej zdziwienie, gdy nie zobaczyła na północy ani przylądka Eskimosów, ani portu Bathurst!

Kalumah zrozumiała, co się stało. Albo wyspa zatoneła w morzu, albo błądzi gdzieś po niezmiernych przestrzeniach wód.

Kahimah gorzko płakała, nie znalazłszy tych, których przyszła z tak daleka odwiedzić.

Szukała wszędzie zaginionego portu, ale na próżno. Zrozpaczona postanowiła wrócić na zachód do Ameryki, gdzie była jej najbliższa rodzina.

Nie spodziewała się ujrzeć ukochanej swej pani Pauliny i nikogo z portu „Nadzieja”. Była pewna, że dawno zginęli w falach morza.

Powróciwszy do domu, zajmowała się wciąż swą zwykłą pracą aż do chwili, gdy straszliwy huragan nawiedził ich okolicę.

Wtedy, łowiąc ryby na morzu, spostrzegła jakąś olbrzymią bryłę płynącą z daleka, jakby oderwaną od czegoś i w jej umyśle powstało przypuszczenie, że to wyspa z jej przyjaciółmi i z panią Paulina, za którą tak bardzo tęskniła.

Powróciła do domu, złapała pochodnię, zapaliła i zaczęła nią potrząsać.

Był to ogień widziany przez Hobsona i sierżanta. Jakżeż się ucieszyła, ujrawszy ogień w pobliżu. Ale wszystko w końcu znikło. Wsiadła więc w swój kajak i zaczęła gonić odpływającą wyspę.

Wiatr pędził ją ku ciemnej bryle, która po godzinie szalonej jazdy dziewczyny, okazała się wyspą błędzącą.

Wydała wtedy krzyk przeciągły, słyszany przez Hobsona, jakby z głębi morza pochodzący i gonić zaczęła szmat ziemi, na której byli jej drodzy przyjaciele.

Huragan był jednak tak gwałtowny, siła wichru tak straszna, że rzucało nią i miotało na wszystkie strony aż zemdloną wyrzuciło na lodowy brzeg zemdloną.

Tutaj znalazła ją Paulina Barnett wraz ze swą towarzyszką i uratowały ją.

Gdy skończyła opowiadanie, podróżniczka odezwała się z uśmiechem:

— Moje dziecko, to nie ja ciebie wyratowałam, ale to szlachetne zwierzę, niedźwiedź podbiegunowy, który przeniósł cię w bezpieczne miejsce.

I jeśli by do nas kiedyś przyszedł, uszanujemy go, jako twego istotnego wybawcę!

Kalumah, nasycona i wypoczęta, upieszczona przez obie zacne kobiety, nabrała tyle sił, że na własnych nogach mogła iść wraz z nimi do portu.

Nakazano również dziewczynie, aby nie mówiła nikomu o tym, że domniemana wyspa jest lodowcem, przerażenie bowiem ogarnęłoby wszystkich.

Była już trzecia godzina, kiedy trzy kobiety puściły się ku domowi, a o piątej — były już na miejscu.

Można sobie wyobrazić, jak powitano Kalumah.

Radość napełniła wszystkich, była ona jakby węzłem łączącym ich ze światem, witano ją i pieszczono.

Młoda Eskimoska wzruszona była przyjęciem.

Cieszono się, że spędzi całą zimę u nich, że dopiero latem odjedzie w swoje strony.

Tymczasem porucznik i Paulina Barnett, odszedłszy na stronę, rozmawiali o wypadku z Kalumah i o tym, że wyspa była o jakąś milę tylko oddalona od amerykańskiego lądu, i że wichry dmące z dwóch stron dmąc odeгнаły ją o całe mile i dziś stoi w najbardziej niebezpiecznej stronie, niosąc w niedalekiej przyszłości śmierć wszystkim, którzy się na niej znajdują.

Tylko zima mogłaby ich uratować, wtedy bowiem po tafli lodowej morza mogliby dotrzeć do brzegów.

Nazajutrz, czwartego września, Hobson wyszedł nad brzeg wyspy i zauważył, że jest ona między dwoma przeciwnymi prądami i, że gdyby lód ściał morze, mogliby te dwieście mil oddzielających od brzegu, przebyć saniami i znaleźć się szczęśliwie na wybrzeżu Azji.

Tymczasem przygotowywano się do przebycia zimy.

Zgromadzono moc pożywienia dla psów i reniferów. Karmiono psy dobrze, aby miały siłę do jazdy, dawano im mięso zabijanych przez myśliwych zwierząt, co zaś do reniferów, to stajenka ich była pełna mchu i ilość jego na pewno mogła starczyć na całą porę zimową.

Doświadczeni już teraz, zgromadzili w domu i w korytarzach tak wiele drewna na opał, że nie tylko na czas zimowy, ale na cały rok starczyć mogło.

Wszystko było przygotowane na zimę i żaden z tych pracujących gorliwie żołnierzy nie wątpił, że znajduje się na prawdziwej wyspie. Gdyby wiedział, w jakim jest położeniu, nie pracowałby tak gorliwie.

Zimę zwiastowały wędrówki ptaków odlatujących na południe, chmary łabędzi ciągnących do ciepłych krajów i zimniejszy podmuch wiatru.

Kilku odlatującym ptakom uwiązano na szyi kartkę z opisem położenia wyspy błakającej się po morzu, nazwiskami tych, którzy na niej mieszkali i puszczono je potem na swobodę.

Robiono to w tajemnicy przed wszystkimi, wiedzieli tylko o tym: porucznik Hobson, sierżant Long i Paulina Barnett wraz ze swą towarzyszką.

Co do zwierząt, które odchodziły zwykle na zimę do łagodniejszego klimatu, to teraz nie mogły tego uczynić, będąc odgradzone morzem od lądów, do których chciały dążyć.

Pozostały więc z ludźmi, kręcąc się koło domostwa, jakby tutaj tylko czując się bezpiecznie.

10 września stała się rzecz, która bardzo zaniepokoiła porucznika.

Oto wyspa zaczęła płynąć i to bardzo szybko ku północy. Porywał ją prąd płynący ku Kamczatce! Pędziła ku tym bezludnym stronom morza podbiegunowego, skąd nie powraca już się nigdy.

Hobson zwierzył się Paulinie Barnett z obawy niebezpieczeństwa grożącego im i zapytywał, co ma począć, czy nie lepiej powiedzieć wszystko towarzyszom podróży.

Ale Paulina Barnett, a i sierżant Long, stanowczo zaproponowali, mówiąc, że może się to jeszcze zmienić, a lepiej przedtem nie napełniać nieszczęśliwych rozpaczą.

Od 11 września wyspa zaczęła robić dwanaście do trzynastu mil dziennie, w stronę północy.

Hobson, obserwując stale jej bieg, widział w jaką lecał przepaść.

Teraz jedynym ratunkiem byłaby zima — lody utrzymałyby na morzu błędzącą wyspę i łatwiej można by dotrzeć do lądu saniami lub nawet na łyżwach.

W obecnej chwili niemożliwa była ucieczka, gdyż łódź nie była gotowa i tak szybko nie można by jej skończyć, ze względu na niebezpieczeństwo tyłu ludzi rzuconych na igraszkę burzliwym falom morza.

Tymczasem śnieg zaczął padać, zbliżała się szybkim krokiem zima.

Na koniec w nocy z 16 na 17 września ukazały się pierwsze kry na morzu. Były to jakby ostre odosobnione kryształki, pokrywające powierzchnię.

Hobson patrzył z błyskiem nadziei w oczach na ten wstęp zamarznięcia wód morskich, ciesząc się, że w przeciągu doby wyspa może być zatrzymana przez gruby na trzy stopy lód i wszyscy zostaną uratowani.

Ale nie stało się to jeszcze. Wyspa pędziła, w dalszym ciągu rozrywając powłokę cienkich kryształków, przebywając całą milę na godzinę.

Hobson widział, że są zgubieni!...

Tymczasem 27 września porucznik zauważył, że Wyspa Wiktorii stoi w miejscu nieporuszona. Stoi przymarznięta do zlodowaciałego morza o sześć mil od lądu.

Rozdział XVII

A więc wyspa, jakby zarzuciła kotwicę, jak mówił sierżant, i zatrzymała się w biegu.

Ale sześćset mil oddzielało ją od lądu, a nie tak to łatwo przejechać tyle mil saniami pośród olbrzymich, spotykanych na drodze lodowców i to jeszcze podczas straszliwej zimy.

Było to ryzykowne przedsięwzięcie, a jednak nie można się było wahać ani godziny.

Przyszła już tak oczekiwana przez Hobsona zima wybawicielka, trzeba z niej było korzystać!

— Wyruszamy najlepiej w stronę Ameryki — odezwał się Hobson do swych powierników — o ile mi się zdaje, najlepiej skierować tam swoje kroki.

— Przyda się nam bardzo Kalumah — odezwała się podróżniczka — zna doskonale te strony i na pewno trafimy do lądu najkrótszą drogą.

— O, tak — odpowiedział Hobson — jej przybycie do nas prawdziwie jest opatrnościowe...

— Biedny nasz port „Nadzieja”! — westchnęła Paulina Barnett — zbudowany kosztem tylu zabiegów i uciążliwej pracy i to dzięki panu, panie Hobson. Serce mi się kraje na myśl o opuszczeniu naszego domu, o rzuceniu go na pastwę wichrów i lodowców z północy.

— Nie będę mniej cierpieć niż pani — odparł Hobson — a może i więcej! Włożyłem w ten budynek całą moją inteligencję i energię.

Po cóż dawałem nazwę tak niestosowną w tej chwili?

A co powie Kampania, która mi powierzyła postawienie składnicy i domu. Uzna mnie za zwykłego agenta!

— Kampania! — zawołała ze szlachetnym uniesieniem Paulina Barnett — powie, że pan spełnił swój obowiązek, że nie może pan być odpowiedzialny za kaprysy przyrody, zawsze od człowieka potężniejszej!

Kampania zrozumie, że nie mógł pan przewidzieć tego, co się stało, bo to było ponad rozum i przecucie ludzkie! Zrozumie też, że tylko pańskiej roztropności zawdzięcza, że nie utraciła ani jednego ze swych członków!

— Dziękuję pani — rzekł porucznik, ściskając rękę pani Barnett — dzięki za te słowa, pochodzące wprost z pani serca, ale bardzo mało znam się na ludziach i obawiam się, że będę osądzony inaczej!

Zresztą, dziej się wola Boża!

Sierżant Long, chcąc przerwać ponure myśli porucznika, zaczął mówić o czymś innym, a mianowicie, czy zacząć już przygotowania do wyjazdu i czy nie czas zawiadomić podróżnych o ich położeniu.

Ale Hobson nie chciał martwić i niepokoić ludzi, dopóki wszystko nie zostanie przygotowane do wyprawy.

Tymczasem zima zapanowała wszechwładnie. Nie było takich mrozów, jak poprzedniego roku, ale głównie wilgoć dawała się we znaki, deszcze i śniegi padały codziennie.

Porucznik Hobson nie bardzo był z tego zadowolony, wolałby raczej silne mrozy, aby być o nieruchomość wyspy spokojny.

Tymczasem lód na morzu nie był jeszcze tej grubości, żeby móc jechać saniami.

Tak samo było przez cały październik. W tym miesiącu Hobson i sierżant odbywali częste wycieczki, jednego dnia odwiedzili Przylądek Michała, drugiego Zatokę Morsów, chcąc zmiarkować czy przejście jest możliwe.

Okazało się, że lód jest za cienki, aby móc się odważyć jechać i postanowiono czekać.

W pierwszych dniach listopada temperatura była niższa o kilka stopni i mgła otaczała wyspę. Trzeba było zapalać lampy, a oliwy już było bardzo mało. Polowania na foki nie można było urządzać, gdyż nie było ich tu wcale.

Jeśliby zima potrwała przez dłuższy czas, musiano by używać tłuszczu z reniferów lub zapalać żywicę z sosen.

11 listopada święcono uroczystie dzień urodzin małego Mac Napa.

Dziecko było zdrowe i bardzo piękne, o kędzierzawych blond włosach i dużych błękitnych oczach.

Nazajutrz, 12 listopada, słońce nie ukazało się wcale na nieboskłonie i rozpoczęła się podbiegunowa noc.

Ale zanik słońca nie wpłynął na zmianę temperatury. Mrozu wielkiego nie było.

Trzynastego listopada Paulina Barnett, Hobson i sierżant Long zebrali się na naradę, którego dnia mają opuścić wyspę i wyruszyć ku lądowi.

Postanowiono wyjechać w końcu listopada i zawiadomić wszystkich o istotnym stanie rzeczy.

— A kiedy zawiadomi pan o zapadłym postanowieniu mieszkańców wyspy? — zapytała Paulina Barnett.

— Natychmiast — odrzekł spokojnie porucznik.

— Sierżancie Long — zwrócił się do stojącego obok towarzysza wyprawy — proszę zgromadzić wszystkich bez wyjątku w dużej sali, zaraz tam przyjdę.

Sierżant wyszedł, a porucznik i Paulina Barnett stali jakiś czas w milczeniu. W chwilę potem sierżant zawiadomił Hobsona, że rozkaz został spełniony.

Gdy porucznik i Paulina Barnett weszli do sali, nie brakowało tam nikogo z mieszkańców portu.

Hobson zwrócił się ku obecnym i poważnym tonem rzekł:

— Moi przyjaciele, aż do tej pory czułem się w obowiązku nie mówić wam o niczym, aby was nie niepokoić. Teraz jestem zmuszony. Oznajmiam więc wam, moi drodzy, że trzęsienie ziemi odłączyło nas od lądu...

Przylądek Bathurst oderwał się od amerykańskiego brzegu... Nasz półwysep jest tylko błądzącą lodową wyspą...

W chwili, gdy to skończył, podszedł do niego jeden ze starszych żołnierzy i rzekł donośnym głosem:

— Wiedzieliśmy o tym dawno, mój poruczniku!

Rozdział XVIII

Tak! Oni wiedzieli, ci zacni, dzielni ludzie! I aby nie dodawać jeszcze zmartwienia swemu dowódcy, udawali, że nie wiedzą o niczym i pracowali, jak wprzód.

Łzy wzruszenia popłynęły z oczu Hobsona. Nie starał się ukrywać ich przed tymi zacnymi ludźmi i uścisnął serdecznie dłoń dzielnego żołnierza.

— Jesteście dzielnymi ludźmi, moi przyjaciele — odezwała się Paulina Barnett, którą ta delikatność wzruszyła do głębi — jesteście szlachetnymi i odważnymi żołnierzami!

— A nasz porucznik — odpowiedział Mac Nap — może na nas liczyć. Spełnił swój obowiązek, a my — spełnimy swój bez szemrania.

— Tak, moi towarzysze — rzekł porucznik — Bóg nas nie opuści, będziemy robić, co tylko możliwe, aby się wyratować!

Mamy sześćset mil do przebycia — mówił dalej porucznik, musimy się spieszyć, aby przed marcem być na lądzie.

— W chwili, gdy otrzymamy sygnał do wyjazdu, mój poruczniku — rzekł Mac Nap — pójdziemy, dokąd nas poprowadzisz!

Wyjazd naznaczony został na 20 listopada, nie było bowiem ani chwili do stracenia.

Pomimo wielkiej odwagi i energii Paulina Barnett czuła w sercu nieopisaną trwogę.

To morze, pod stopami jeszcze trzeszczące, niezbyt głęboko zamarzłe, ta bezkresna ciemność, ten blady księżyc, prawie niewidoczny—wszystko to przerażało, tak do tej pory odważną kobietę.

Przed oczami jej stawała karawana ludzi brodzących po śniegu i lodzie, padających nieraz w cieniach nocy od uderzenia lodowca, błędzących, zziębniętych.

Ale Paulina Barnett chciała nabrać odwagi, chciała przyzwycząić wzrok do podobnych widoków, wzmocnić ducha, odpędzić trwogę.

Patrząc i myśląc o podróży w ciemną przestrzeń chwilami krzyk przerażenia wydierał się z jej piersi, a ręka ścisnęła konwulsyjnie dłoń Hobsona, jakby tam szukając ratunku.

Pewnego ranka, stojąc z porucznikiem z dala poza domem, pokazała mu jakiś olbrzymi przedmiot, poruszający się o sto kroków od nich w ciemnościach.

Było to zwierzę olśniewającej białości, olbrzymiej postaci, wysokości co najmniej pięćdziesięciu stóp.

Szedł powoli na lodzie, przeskakując z jednego kawałka na drugi zręcznym skokiem, poruszając łapami, które były w stanie objąć dziesięć ogromnych dębów naraz.

Zdawał się szukać wyjścia z tej przeklętej wyspy, uciec z niej i nie wracać.

Lód łamał się pod jego ciężarem, ale zwierzę nie zaprzestawało poszukiwań.

Szedł tak z ćwierć mili i tą samą drogą, którą przyszedł, powrócił.

Właśnie przechodził koło Hobsona, który złapał za fuzję i wycelował.

Opuścił jednak broń, poznawszy jakie to było zwierzę.

— To niedźwiedź — rzekł do podróżniczki — przyszedł biedak szukać stąd wyjścia, ale nie znalazł, tak jak i my ludzie, wraca do swego legowiska.

— Ach! To mój niedźwiedź! — zawołała. — Ten, co wyratował Eskimoskę! Zapewne sam jeden na tej wyspie! Ale co on tu robi?

— Stara się przejść na ląd, którego tu nie widać, nie chce być więźniem.

Niedźwiedź tymczasem, poruszając głową i mrużąc głucho, przeszedł o dwadzieścia kroków od stojących.

Albo ich nie widział, albo nie chciał widzieć.

Skierował się do Przylądka Michała i znikł za wzgórzem.

Tego dnia porucznik Hobson i Paulina Barnett wrócili do domu w bardzo smutnym usposobieniu. Robota koło sań trwała bez ustanku, psy wypuszczano, aby przywykły do biegania i powietrza, krzątano się koło wyprawy.

Sań było kilka. Jedne z nich napełniono najkosztowniejszymi futrami, inne przeznaczono do pak z pożywieniem.

Każdy pomagał, każdy chciał się czymkolwiek przysłużyć, jeden tylko astronom nie wychodził ze swego pokoju, siedział zadumany i smutny, i zdawał się być obojętny na wszystko.

Złamało go niepowodzenie z obserwacją księżyca, dla której znosił tyle niewygód, teraz znów martwiło go, że nie mógł wracać do kraju, wracać wtedy, kiedy był winien powrócić, poza tym nie obchodziło go nic, jakby nikogo i niczego nie widział.

Pracowano tak gorliwie, że rankiem, 18 listopada wszystko było gotowe do wyjazdu, który jednak musieli odroczyć ze względu na niepogodę. Burza z deszczem i śniegiem zmusiły do czekania na odpowiedniejszą porę do podróży — dopiero 22 tegoż miesiąca, gdy stan powietrza stał się możliwy, porucznik Hobson dał hasło do wyjazdu.

Wyruszone o wpół do dwunastej z rana; dzień był cichy, szary od mgieł,, a zorza oświetlała horyzont.

Psy wypoczęte przez dłuższy czas, rzuciły się z chęcią do jazdy, trzy pary domowych reniferów ciągnęły sanie z futrami, resztę sań zajęli podróżnicy, i skierowano się ku Przylądkowi Michała.

— Żegnaj! Żegnaj, nasz drogi domku! — zawołała Paulina Barnett, machając ręką w kierunku portu.

I wszyscy, smutni i zgnębieni, w ciszy opuszczali swoje domostwo.

W godzinę potem przybyli do przylądka bez przeszkód.

Dalsza jednak droga, tak była najeżona ostrymi lodowcami, że z trudnością posuwały się sanie, w końcu zjawiała się przeszkoda, która nie pozwalała odbywać dalszej podróży.

Karawana napotkała napełnione wodą szerokie i głębokie doły między lodowcami. Szpary takie spotykano we wszystkich stronach, niepodobna więc było jechać tam saniami. Mogły się nawet zdarzyć wypadki z ludźmi, powierzonymi opiece Hobsona.

Trzeba się było zastanowić, co wypada robić.

Hobson rozebrał się i wskoczył do jednej ze szczelin wodnych, aby, przepłynąwszy na drugą stronę, zobaczyć, czy są dalsze przeszkody, czy też na tej jednej się kończy. Po kilku godzinach powrócił, i wzięwszy sierżanta na stronę, oznajmił, że przejazd lub przejście po lodzie jest niemożliwe.

— Jeden człowiek, być może, przeszedłby jakoś, ale karawana z saniami i ciężarami nie będzie mogła tego uczynić.

Wody tyle, że prędzej by się przedostał statek niż sanie.

— A więc — odezwał się sierżant Long — jeśli jeden człowiek może przebywać tę drogę, niechże idzie ktokolwiek i szuka dla całej wyprawy ratunku.

— Właśnie postanowiłem iść... — odrzekł porucznik.

— Pan, panie Hobson? — zawołała obecna przy tym podróżniczka. — Pan, panie poruczniku?

Dwa te pytania uczynione naraz i z pełnym zdumienia tonem, wykazały cały nierozsądek tej myśli.

Jak to? On, wódz wyprawy ma rzucać na te lody, być może na zmarznięcie, całą z 21 ludzi składającą się ekspedycję?

Nie! To nie było możliwe!

Hobson zrozumiał:

— Tak, moi przyjaciele — odezwał się — rozumiem was dobrze, nie opuszczę was, ale też i nikogo nie wyślę na poszukiwanie pomocy. Wątpię czy doszedłby szczęśliwiec mając wciąż pod stopami, podobne tym, przepaście, a jeśliby i dotarł do Nowego Archangielska, i cóż to by była dla nas za korzyść?

W jaki sposób wyratowano by nas? Okręt nie pojedzie po lodach, a znów, chociaż to zima, lód nie wytrzymałby naporu sań, zwłaszcza że są przepaście i szczeliny pomiędzy lodami.

— Tak, panie poruczniku, ma pan rację — odpowiedział sierżant — bądźmy wszyscy razem, nie rozłączajmy się, a gdy nadjedzie jakiś okręt, ratujmy się...

— A więc, panie Hobson, jak będzie? — spytała Paulina.

— Trzeba powracać na Wyspę Wiktorii.

— Wracajmy więc i niech niebo nad nami czuwa! Zebrano wszystkich i powiedziano o konieczności powrotu na wyspę.

Przyjęto tę wiadomość z widoczną niechęcią. Biedni ci ludzie liczyli tak pewnie na powrót do swej ojczyzny, że jak grom uderzyła w nich zmiana w projektach porucznika. Byli zrozpaczeni, ale po zastanowieniu się, poddali się konieczności i postanowili być posłuszni.

Powrót do portu „Nadzieja” zdecydowany był na drugi dzień i odbył się w bardzo opłakanych warunkach.

Pogoda była okropna. Deszcz padał strugami, a straszliwa ciemność pogarszała jeszcze położenie. Cztery dni i cztery noce jechano na wyspę. Kilka sań wraz z zaprzężonymi psami stało się pastwą przepaści, pochłonięte zostały przez wodę, buchającą spomiędzy szczelin, ale dzięki roztropności Hobsona ani jeden z ludzi nie zginął.

Droga była niebezpieczna i trudna, a cóż jeszcze czekało tych nieszczęśliwych, gdy powrócą na błądzącą wyspę, straszliwą zimę, gdy będą zmuszeni przetrwać!...

A wyruszyć łodzią będą mogli dopiero za sześć miesięcy, gdy łódź będzie gotowa i wody zwolnione od lodowców.

Rozpoczęło się zimowanie na wyspie. Wyprężono sanie, produkty żywnościowe umieszczono w spiżarni, futra w magazynie, psy natomiast zamknięto w ich budynku, a renifery w stajence.

Tomasz Black był bardzo zirytowany. Siedział w swym pokoju nad instrumentami i milczał.

W ciągu jednego dnia doprowadzono wszystko do porządku i rozpoczęło się znów monotonne i nudne życie, które dla mieszkańców wielkich miast byłoby nie do wytrzymania.

Kalumah coraz bardziej przywiązywała się do Pauliny Barnett, która nauczyła ją czytać i pisać.

Dziewczyna była bardzo zdolna i w krótkim czasie posiadała potrzebną dla niej wiedzę. Kochana

przez wszystkich, dobra i poświęcająca się, tak dalece przywykła do nieznanego sobie przedtem życia i ludzi, że nie myślała o powrocie, postanawiając jechać wraz z Paulina Barnett i być na jej usługi.

Budowa łodzi była już na ukończeniu i można by już w bieżącym miesiącu wyruszyć, o ile nie byłoby lodów.

W ciemnościach i wilgoci Mac Nap i jego pomocnicy pracowali usilnie przy blasku zapalonych pochodni, podczas gdy inni zajęci byli w magazynach i faktorii.

Pogoda była wciąż niezdecydowana, zimno czasami bardzo silne nie trwało długo, co można było przypisać wpływowi zachodnich wiatrów.

Cały grudzień przeminął w tych warunkach, deszcz i śnieg padały na przemian.

Palono dużo, mając ogromny zapas drewna i nie odczuwano w tym roku zimna. Ale co do światła, to nie było tak dobrze. Oleju było bardzo mało i porucznik pozwalał zapalać lampę tylko przez kilka godzin dziennie.

Chciano używać tłuszczu reniferów do oświetlenia, ale okazało się to niemożliwe ze względu na odór nie do zniesienia; wszyscy woleli siedzieć w ciemnościach. Pracę wtedy, naturalnie, porzucano i dnie zdawały się bardzo długie.

Czasem tylko ukazywała się na niebie prześliczna zorza północna i kilka razy księżyc w pełni rozjaśnił ten smutny krajobraz.

W końcu grudnia zupełnie zabrakło tłuszczu do lampy, cały więc styczeń spędzać trzeba byłoby w ciemności, dopiero bowiem w lutym słońce ukazywało się na niebie.

Dzięki jednak Eskimosce zdobyto wkrótce tłuszcz.

Było już trzeciego stycznia, gdy Kalumah poszła do stóp Przylądka Bathurst, aby przyjrzeć się, jaki jest stan lodów na morzu.

Rozglądając się dookoła młoda Eskimoska zauważyła kilka otworów, wywierconych w lodzie, o których wiedziała dobrze do czego służą.

Były to jamy fok, to znaczy, że przez te otwory fokki wychodziły na powierzchnię lodu, aby odetchnąć świeżym powietrzem i wyszukać pod śniegiem mchu na pożywienie. Kalumah wiedziała o tym dobrze, że Eskimosi łapią fokki w ten sposób, że siedząc nad otworem, czatują na nie, łapią na sznury, duszą i wyciągają wspólnymi siłami na powierzchnię.

Czym prędzej poszła do domu i oznajmiła o swym odkryciu Hobsonowi, który wysłał dwóch żołnierzy ze sznurami nad brzeg przylądka. Kalumah nauczyła ich sposobu łowienia i poszła z nimi, aby wskazać widziane przez siebie otwory.

Z myśliwymi wybrali się też razem i Paulina Barnett, Hobson i jeszcze trzej żołnierze. Kobiety

usiadły nad brzegiem morza, a mężczyźni stanęli ze sznurami w rękach nad oddalonymi od siebie jamami.

Minęła godzina i nic nie zwiastowało ukazania się fok.

Na koniec z jamy, którą dozorował jeden z żołnierzy, wysunęła się głowa z dwoma ogromnymi kłami. Była to głowa morsa.

Żołnierz zarzucił pętlę na szyję zwierzęcia i zaczął ścisnąć. Przy pomocy swych towarzyszy wyciągnął morsa i kilkoma uderzeniami siekiery zabił na lodzie.

Dużo fok zostało w ten sposób uśmierconych. Mieszkańcy wyspy zaopatrzyli się teraz w tak niezbędny tłuszcz, który wprawdzie nie jest tak miły w użyciu do lamp, jak oliwa roślinna, ale może ją zastąpić, dając możliwość pracowania i czytania przy swym świetle.

Tymczasem mrozu jakby nie było. Na lądzie cieszą się tak łagodną zimą, ale tutaj obawiano się, że podstawa lodowa wyspy może się roztopić, a wtedy smutny koniec czekałby tych nieszczęśliwych ludzi.

Widoczne też było, że lody nie pokryły całkowicie morza, i że nie utrzymują błędzącej wyspy, gdyż zwierzęta karmiące się roślinnością, a więc wędrujące zwykle do cieplejszego klimatu, nie opuściły dotąd wyspy, nie mogąc przejść po lodzie, jak to zeszłego roku zrobiły.

Również zwierzęta o przepysznych futrach nie opuściły letniej siedziby, oswajając się z ludźmi do tego stopnia, jakby stanowiły własność factorii.

Stosując się do rozkazu Hobsona, oszczędzano zwierzęta, nie zabijając ich wcale, bo i po co?

Czasem dla otrzymania świeżego mięsa zabito renifera, poza tym nic.

Ale lisy, sobole, bobry i inne chodziły spokojnie koło domu, a nawet często odwiedzały i wewnątrz domu, tak, że trudno ich było się pozbyć.

27 stycznia złożył niespodzianie wizytę osobliwy gość.

Żołnierze czuwający na zewnątrz domu, zauważyli olbrzymiego niedźwiedzia, który najspokojniej szedł do fortu.

Weszli do sali i zawiadomili Paulinę Barnett o obecności zwierzęcia.

— Musi to być nasz niedźwiedź! — odezwała się podróżniczka do Hobsona i oboje, wraz z kilkoma żołnierzami, wyszli zobaczyć niedźwiedzia.

Niedźwiedź był o dwieście kroków od domu i postępował ku niemu spokojnie, jakby z ułożonym z góry planem.

— Poznaję go! — zawołała Paulina Barnett — to twój niedźwiedź, twój wybawca, Kalumah!

— Ach! Nie zabijajcie mojego niedźwiedzia! — zawołała młoda Eskimoska.

— Nie będziemy go zabijać — oznajmił Hobson — zapewne powróci spokojnie, tak samo jak i przyszedł!

— A jeśliby chciał wejść poza ogrodzenie... — odezwał się sierżant Long — co robić?

— Pozwólcie mu wejść, sierżancie — odpowiedziała Paulina Barnett — to zwierzę straciło zupełnie swą dzikość. Jest więźniem, jak i my, a wszak wiecie, że więźniowie...

— Nie zjadają się wzajemnie! — odpowiedział porucznik — to prawda.

Ale tymczasem, sądzę, że będzie lepiej, gdy wejdziemy do środka. Nie trzeba narażać go na pokusę...

Rada była dobra, każdy wszedł do domu, zamknięto drzwi, ale wentyle w oknach pozostały otwarte.

Niedźwiedź, zastawszy drzwi podwórza otwarte, wszedł, rozejrzał się uważnie, wsunąwszy olbrzymią swą głowę do wnętrza zbadał meble i sprzęty, przyjrzał się stajni i psiarni, posłuchał przez chwilę wycia rozpaczliwego psów, które poczuły niedźwiedzia, w końcu poszedł do domu i olbrzymi swój łeb położył przy otwartym wentylu okna.

Cofnęli się wszyscy, kilku żołnierzy pochwyciło za broń, a sierżant Long zaczął się obawiać na dobre, że żart posunięto za daleko i może się coś stać niedobrego. Ale Kalumah nie złąkała się wcale zwierzęcia. Podeszła do okna i twarz przybliżyła do zamkniętej szyby.

Niedźwiedź zdawał się ją poznawać, tak przynajmniej twierdziła Eskimoska i widocznie zadowolony, wydał łagodny i jakby radosny ryk, i cofnąwszy się od okna, poszedł skąd przyszedł.

3 lutego, przed południem, blada smuga ukazała się na horyzoncie i trzymała się obłoków przez godzinę, po czym zajaśniała żółtawa tarcza i od tej pory słońce zaczęło się ukazywać, a podbiegunowa noc skończyła swe bytowanie na wyspie.

Rozdział XIX

Zaczynając od dnia, w którym ukazało się słońce, wznosiło się ono i rozjaśniało codziennie horyzont i to coraz piękniej, zimno było większe niż przedtem, pogoda stale sprzyjająca wycieczkom.

— Jeszcze dwa miesiące lodów, a potem będzie można wyruszać — odezwała się pewnego dnia podróżniczka.

— Tak, dwa miesiące jeszcze — odpowiedział porucznik — potem chociażby wyspa nasza zaczęła znów płynąć, znajdziemy się w okolicy Beringa, wtedy łatwiej nam będzie dopłynąć do jakiegoś lądu.

— Jak to, co pan mówi? — zapytała Paulina Barnett ze zdziwieniem. — Przecież prąd, który nas zapędzi, zawiedzie nas ku północy, ku Kamczatce?

— Tak nie będzie w żadnym razie — odparł Hobson — lody idą z północy na południe, zawiodą więc nas ku cieplejszej stronie. Proszę się zapytać Kalumah, czy nie mam racji?

Kalumah potwierdziła mniemanie Hobsona, było pewne, że stojąca na lodzie wyspa skieruje się ku południowej stronie, ku Zatoce Beringa, odwiedzanej podczas lata przez rybaków z Archangielska.

Ostatni tydzień lutego był niezwykle dżdżysty i śnieżny.

Północno-zachodni wiatr, dawały się słyszeć grzmoty. Lodowce gromadziły się w wielkiej ilości w pobliżu wyspy i położenie było bardzo niebezpieczne.

W końcu uciszyło się wszystko i tylko ogromne ściany lodowe stały nieporuszone niedaleko od wyspy, grożąc w razie huraganu zawaleniem.

Tymczasem wykończono łódź, która była podobna do barki holenderskiej, miotającej się po Morzu Północnym.

Zanim jednak wyruszono w podróż do upragnionego lądu, Hobson postanowił wyruszyć na zwiady, czy możliwa będzie projektowana podróż w tę stronę, ku której zamierzali skierować swe kroki.

7 marca wyruszyli z portu: Hobson, Paulina Barnett, Kalumah i dwóch żołnierzy.

Zapowiedziano powrót za 48 godzin.

Dzień, w którym opuszczano twierdzę „Nadzieja” był mglisty, ale pogodny. Słońce świeciło przez osiem godzin w ciągu dnia, w ogóle warunki były dobre i zdawało się, że wszystko będzie jak się należy.

Podróż odbywała się powoli, trzeba było co krok omijać szczeliny morskie, to znów ostre bryły lodowe.

Sanie nie mogły w żaden sposób tędy przejechać, tyle było brył i strug wody.

Kalumah była przewodniczką gromadki. Lekka, zwinna przeskakiwała przeszkody, szła pewną stopą po lodzie, wskazując lepszą do przejścia drogę.

Doszli wreszcie do olbrzymiej ściany lodowej, której trwałość nie była bardzo pewna i tutaj, pomimo ostrożności i niezbliżania się zbyt do lodowców, jeden lodowy blok, ważący co najmniej ze sto ton, oberwał się i padł z całą siłą niedaleko od Pauliny Barnett, która zaledwie zdołała odskoczyć na bok.

Siła tej bryły była tak wielka, że padając rozbiła lodową powłokę i wyrzuciła z siebie wodę do ogromnej wysokości.

O godzinie 5 po południu ciemność zaczęła ogarniać podróżnych, wyłobiono więc otwór w lodzie w kształcie grotty i zasiadłszy zabrano się do posiłku, a potem do spania.

Zmęczenie wpłynęło na dobry sen i dopiero o 8 rano zbudzono się do dalszej drogi.

Przekonano się, że możliwa będzie podróż po roztopieniu się lodów i na drugi dzień postanowiono wracać na wyspę.

Była już godzina dziesiąta rano, gdy naraz żołnierze zaczęli coś między sobą rozważać.

Paulina Barnett podeszła wraz z Eskimoską do jednego z żołnierzy, który ze zdziwieniem pokazywał jej strzałkę na kompasie.

— Co za dziwna historia! — zawołał, zwracając się do porucznika. — Może mi pan będzie łaskaw powiedzieć, w której stronie jest nasza wyspa?

— Na zachodzie — odrzekł Hobson — chyba wiesz pan dobrze, że nie na wschodzie!

— Wiem o tym! Wiem o tym! — mówił zmieszany żołnierz — ale, jeśli na zachodzie, to źle idziemy, zbłądziliśmy... Oddalamy się wciąż od wyspy, panie poruczniku!

— Jak to? Oddalamy się? — zapytał Hobson, zdziwiony stanowczym tonem żołnierza.

— Tak, panie poruczniku! Idziemy wciąż na wschód, nie zaś na zachód!

— To niemożliwe! — odezwała się podróżniczka.

— Proszę spojrzeć na kompas...

— Musieliśmy się pomylić, wychodząc z naszego lodowego domku, dziś rano — odezwał się drugi żołnierz.

— O, nie! Na pewno nie! — zawołała Paulina Barnett. Patrzmy na słońce, odwracamy się od niego idąc, to znaczy, że idziemy na zachód. Idźmy wciąż plecami do słońca, a zajdziemy na naszą wyspę.

Puszczono się w dalszą drogę, ale idąc i idąc całe godziny, nie spostrzegano wyspy.

Stanowczo! Wyspy nie było... Na jej miejscu rozciągało się lodowe pole, na którym błąkały się słoneczne promienie...

Podróżni patrzyli na siebie przerażeni.

— Ależ wyspa powinna być tutaj! — zawołał jeden z żołnierzy.

— Ale jej tu nie ma! — odpowiedział drugi. — Panie poruczniku, co się to stało?

Paulina Barnett stała milcząca, Hobson nie odpowiadał.

— Zabłądziliśmy — odezwała się Kalumah, podchodząc do Hobsona — weszliśmy w dolinę, zamiast z niej schodzić i jesteśmy znów na tym samym miejscu, gdzie byliśmy wczoraj. Chodźmy! Chodźmy!

Wszyscy, polegając na rozsądku Eskimoski, poszli za nią.

Szli tak przez kilka godzin aż znaleźli się na drugiej stronie lodowców.

Ciemność nie pozwalała im niczego zobaczyć, ale nie pozostawali długo w niepewności.

O kilkaset kroków, na lodowym polu, dostrzec można było światło pochodni i słychać było wystrzały z fuzji.

Na wołanie odpowiedziano i wkrótce zostali otoczeni i witani przez sierżanta Longa i Tomasza Blacka, którego niepokój o przyjaciół wyciągnął z samotnego pokoiku.

Oprócz nich nadbiegli i inni, zaniepokojeni straszliwie o los tych czworga, bojąc się, że zabłądzili i nie mogą trafić do swego domostwa.

A sądzili tak dlatego, że od dwudziestu czterech godzin lodowiec, na którym była wyspa, po zrobieniu kilku obrotów w kółko, zmienił swe położenie i nie znajdował się już ich dom na zachodzie, ale na wschodzie...

W dwie godziny potem wszyscy byli już w domu, a nazajutrz, gdy zajaśniało słońce, ujrzeli, że port Bathurst zwrócony był ku wschodowi.

Między 10 a 21 marca dała się odczuć nadchodząca pora roku, rozpoczęła się odwilż, która uczyniła jeszcze większe szpary między lodami, lody pękały z ogromnym hałasem, sprawiając wrażenie armatnich wystrzałów.

Ciepły deszcz spadł na ziemię, dopomagając w roztopianiu się lodów i cała natura zapowiadała

wiosnę.

Ptactwo, które opuściło wyspę przed zimą, powróciło teraz gromadnie.

Upolowano trochę ptactwa, niektóre z nich miały jeszcze na szyi bileciki, które wiązano im, aby dać znać o mieszkańcach błędzającej wyspy.

Co zaś do zwierząt, te nie przestały odwiedzać portu, wchodząc nawet często do środka.

Mchy zaczęły zielenieć, trawki wydobywały się spod ziemi, pachniało wszystko świeżością i jak tylko lód zupełnie zaniknie, postanowiono jechać natychmiast ku lądowo.

Tymczasem zauważono, że wyspa nieznacznie wciąż poruszała się i prąd niósł ją ku południowi.

Hobson zmierzył długość i szerokość geograficzną i okazało się, że Wyspa Wiktorii porwana prądem Beringa, szła ku południowi. Nie było co do tego żadnej wątpliwości!

Nie było też i obawy, żeby podróżni znaleźli się na północnych, niemożliwych do wyzycia krańcach.

Rozdział XX

Przybliżano się wciąż ku Morzu Beringa.

Nadzieja ujrzenia wkrótce lądu wpłynęła na podróżników bardzo kojąco.

Obiady jedzono z apetytem, rozmawiano i weselono się bez przerwy, wrócił dobry humor, zajaśniał uśmiech na twarzach.

Urządzano wycieczki, na których nie zauważono żadnych zmian w ustroju wyspy, widziano tylko stada wilków, które przebiegały całą przestrzeń i umykały od ludzi.

Ze wszystkich zwierząt, tylko one nie oswoiły się i nie zbliżały do budynku.

Widziano kilka razy wybawcę Kalumah.

Szlachetne to zwierzę przechadzało się melancholijnie po pustych przestrzeniach i zatrzymywało się, gdy ktoś z ludzi przechodził.

Czasami towarzyszył nawet do portu, wiedząc dobrze, że nie grozi mu nic od tych dzielnych ludzi.

5 maja Hobson oznajmił swym towarzyszom, że Wyspa Wiktorii przebyła koło biegunowe. Wchodziła w tę sferę ziemską, w której słońce jest zawsze przez rok cały.

Zdawało się wtedy wszystkim, że wracają już do zamieszkałego świata.

W nocy, 8 maja, porucznik Hobson wraz z sierżantem postanowili iść na pole lodowe, aby zobaczyć czy nie zaszły tam jakieś poważne zmiany.

Paulina Barnett chciała iść z nimi, ale uproszono ją, żeby odpoczęła, wzięwszy więc z sobą Magdalenę i Eskimoskę weszła do swego pokoju, podczas gdy reszta mieszkańców przygotowywała sobie posłanie.

Noc była piękna; pomimo że nie było księżycy, gwiazdy świeciły tak cudnie, że jasno było jak w dzień.

Porucznik Hobson patrzył z podziwem na bryły lodu rozrzucone bez ładunku, na lodowe kryształki, na ostre kawały zatrzymane przez mróz w swoim biegu.

O wyprawie lodzią nie mogło być jeszcze mowy. Szli rozmawiając wesoło kierując się ku domowi, aby móc przez kilka godzin odpocząć, gdy naraz zwrócił ich uwagę jakiś huk, jakby piorun.

Huk ten umilkł natychmiast, potem wybuchł znów z ogromną siłą, aż ziemia drżeć zaczęła.

— Huk ten rozlega się w stronie ściany lodowej! — odezwał się sierżant. — Co się tam stało?

Hobson w milczeniu, niespokojny do wysokiego stopnia, pociągnął swego towarzysza, wołając: — Do fortu! I obaj zaczęli biec czym prędzej ku domowi. Tysiące myśli krążyło po ich głowach: Co za nowe zjawisko mogło się tam zdarzyć? Czy uśpieni mieszkańcy wyspy zdali sobie sprawę z tego, co zaszło? Czy widzieli cokolwiek?

Chyba że słyszeli te huki, bo były tak głośne, że zdolne były obudzić zmarłego.

W niespełna dwadzieścia minut Hobson i sierżant przebiegli dwie mile, oddzielające ich od portu, ale zanim dobiegli do domu, ujrzeli swych towarzyszy, kobiety uciekające w przerażeniu, wydające okrzyki rozpacz.

Mac Nap z dzieckiem na ręce podszedł do porucznika i wskazał zrozpaczonym ruchem faktorię.

Hobson spojrzał i struchlał.

Przylądek Bathurst nie istniał, był całkowicie zrujnowany, rozbity przez lodowe góry, które padły nań, rozwalając wszystko w gruzy.

Domu nie było widać, wepchnięty był przez te ruchome lodowce, barka, budowana z takim trudem, cała nadzieja nieszczęsnych, została całkowicie zniszczona.

Ostatni ratunek, ostatnia nadzieja przepadła.

— Gdzie reszta mieszkańców? Gdzie nasi towarzysze?!

— zawołał przerażony porucznik.

— Tam! — odpowiedział Mac Nap, ukazując całe góry piasku, ziemi i lodowców, pod którymi znikł zupełnie dom mieszkalny podróżnych.

Tak! Pod tymi gruzami była Paulina Barnett, Magdalena, Kalumah i Tomasz Black, których katastrofa zaskoczyła podczas głębokiego snu!

Podmorski prąd swym biegiem wyrwał podstawy lodowców z głębi, które padły na dom i wcisnęły go w głąb lodu, stanowiącego jakby fundament wyspy błędzającej.

— Do motyk i rydli! — rozległ się donośny głos Hobsona — dom był zbudowany solidnie, powinien być cały. Do pracy!

Rzucono się do roboty, ale w tej chwili było to niemożliwe, gdyż niepodobna było zbliżyć się do budynku.

Lodowce wciąż padały i była ich jeszcze gromada, stojąca o dwieście kroków od wyspy.

Huk rozlegał się bez przerwy i można się było obawiać, że wyspa pod ciężarem olbrzymów ugnie

się i zatonię.

Położenie mieszkańców wyspy było rozpaczliwe. Obawa o żywcem pogrzebanych napelniała ich serca i pogrążała w bezmiernym smutku.

Nadszedł dzień. Cóż za widok przedstawiały okolice Przylądka Bathurst!

Cały horyzont zamknięty był przez lodowe skały, gdzieniegdzie jeszcze spadały bryły z wierzchołków lodowych gór i groziły zabiciem.

A wyspa pędziła ku południowi, to znaczy ku przepaści, z dość znaczną szybkością.

Ale na jej pęd nie zwracano teraz uwagi, cała myśl wszystkich skoncentrowana była na punkcie ratowania pogrzebanych pod gruzami, wybawienia od śmierci ukochanej przez wszystkich podróżniczki, dla której każdy z tych ludzi z ochotą poświęciłby życie.

Przez całą noc pracowano nad odkopaniem domu, odrywano się tylko na chwilę, aby coś zjeść lub wypić, po czym zabierano się znów do roboty.

Postanowiono, po trzydziestu godzinach zawalenia się domu, rozpocząć innego rodzaju robotę.

Mac Nap zaczął wiercić jak gdyby studnię w lodzie, w którym wgłębiony był dom wraz z czterema osobami.

Praca była bardzo uciążliwa, gdyż wiercić trzeba było co najmniej na pięćdziesiąt stopni w głąb.

Wiercono bez przerwy dzień i noc całą i nie widziano jeszcze dachu domostwa.

Od pięćdziesięciu czterech godzin Paulina Barnett z trzema osobami była już pogrzebana!

Czy starczy dla nich nadal powietrza, którego i tak jest tam bardzo mało?

Przekopano już do głębokości pięćdziesięciu stóp i z rozpaczą spostrzeżono, że nie ma jeszcze śladu zakopanego budynku.

O trzeciej rano dzida żołnierza natrafiła na coś, co wydało ton czegoś twardego.

— Dokopaliśmy się! — zawołał. — Uratowani!

W dwadzieścia minut potem ukazała się dachówka, którą zerwano w jednym miejscu, robiąc otwór.

W otworze tym ukazała się jakaś postać, trudna do rozpoznania. Była to Kalumah.

— Do nas! Do nas! Na ratunek! — zawołała słabym głosem Eskimoska.

— Hobson wsunął się przez otwór do środka. Pochwycił go silny chłód, woda sięgała do pasa.

Błądząc w ciemnościach potknął się o czyjeś ciało. Wyciągnął je ku otworowi, był to Tomasz Black, którego żołnierze wynieśli na wierzch.

Drugie ciało należało do Magdaleny.

Wyciągnięto astronoma i Magdalenę za pomocą sznurów na ziemię i przywrócono do przytomności, pozostała tylko do odnalezienia Paulina Barnett.

Hobson, przyprowadzony przez Eskimoskę do spichrza, znalazł tę, której szukał, nieprzytomną.

Wziął ją w objęcia i szybko zaniósł ku otworowi, a w chwilę potem Paulina Barnett, Hobson, Kalumah i Mac Nap znaleźli się na ziemi.

Sądzono, że podróżniczka umarła i z rozpaczą wydawano okrzyki bólu. Kalumah rzuciła się z płaczem na ciało swej dobrej przyjaciółki, wołając, dlaczego ją los oszczędził, a zabił ukochaną kobietę.

Ale Paulina Barnett oddychała jeszcze. Słabo wprawdzie, ale oddychała.

Świeże powietrze wdychane przez wysuszone płuca, przywróciło jej życie. Otworzyła wkrótce oczy.

Krzyk radości wyrwał się z piersi obecnych, okrzyk wdzięczności, który wzniósł się ku niebu i z pewnością został tam usłyszany.

Właśnie słońce wschodziło i rzucało swe pierwsze promienie, gdy Paulina Barnett uniósłszy z wysiłkiem głowę, rozejrzała się naokoło i z ust jej wyszły te słowa:

— Morze! Morze!

I w rzeczywistości ze wschodu i zachodu rozpościerało się morze zwolnione od lodów i morze otaczało wyspę błądzącą!

Rozdział XXI

14 maja Mac Nap wraz ze swymi pomocnikami wziął się do roboty łodzi.

Była to olbrzymia praca, ale przy gorliwości i dobrych chęciach można wszystko zdziałać.

Podczas tych przygotowawczych prac, porucznik Hobson sam albo z Paulina Barnett błędził po wyspie obserwując stan morza i zmieniające się ciągle brzegi.

Pewnego dnia, a było to 16 maja, Paulina Barnett przechadzała się z Magdaleną.

Była piękna pogoda, duży upał, od wielu dni nie było już wcale śniegu na powierzchni wyspy i tylko góry lodowe w południowej stronie przypominały, że to strona północna i surowy klimat.

Ale wkrótce i to miało zginąć pod wpływem gorąca.

Piękną szatę przybrała wyspa! Zieleniły się ciemnym odblaskiem drzewa, różowiła się ziemia cudnym kwieciem...

Mchy, pąsowe dzwonki, żółtolistne tulipany leśne pokrywały ziemię, czyniąc wrażenie jakiegoś prześlicznego kobierca.

Przyroda odpowiadała tej, jaką obdarzona była Chrystiania, to jest była jedną z najpiękniejszych i miała najbarwniejszą szatę. Ale Paulina Barnett nie zwracała na to uwagi. Przecucie strasznej katastrofy owładnęło nią całą, nie cieszyło ją zgoła nic!

Wzrok jej nie odrywał się od morza, od tego zgłębnionego, bezlitosnego morza!...

— Moja biedna Magdaleno — mówiła do towarzyszki — to ja namówiłam cię do wyjazdu, ja jestem winna, że spotka cię, jak i nas wszystkich nieszczęście.

I za co? Za to, że byłaś zawsze przy mnie, zawsze przywiązana i czuła... za to!

Czy przebaczysz mi, moja droga?

— Nie ma winy, której bym ci nie przebaczyła — odpowiedziała Magdalena — z radością poniosę z tobą śmierć, jeśli los nasz ma być taki.

— Magdaleno? — zawołała Paulina Barnett — jeśli bym śmiercią swą mogła ocalić życie tym nieszczęśliwym, z radością złożyłabym je w ofierze.

— Córko moja — odrzekła przyjaciółka — czy już nie masz nadziei?

— Nie mam!... — szepnęła Paulina Barnett, tuląc się do swej towarzyszki.

Po raz pierwszy podróżniczka ugięła się pod ciężarem zwątpień, ona, taka mężna i energiczna...

— Magdaleno — pytała podnosząc głowę, czy masz jeszcze choć odrobinę nadziei?

— Ufam, że ratunek jednak przyjdzie — odrzekła wierna przyjaciółka.

Ale czyż można się było czegoś dobrego spodziewać?

Wyspa sama jedna, prawie kawałek lodowca, nic więcej, płynęła po morzu nie mając i nie widząc nigdzie żadnego oparcia!

Rozdział XXII

Budowano na gwałt barkę i wkrótce była zupełnie gotowa.

Zgromadzono żywność i oczekiwano tylko na to, żeby w razie ostatecznego niebezpieczeństwa spróbować jeszcze tego ratunku.

Pierwszego czerwca zabrakło słodkiej wody.

Woda morska zlała się z wodą słodką, której prąd przepływał ze źródła i jeden z żołnierzy przybiegł do porucznika, aby mu to oznajmić.

— Nic to nie szkodzi — odpowiedział na to Hobson — mamy dostateczną ilość lodu, którym możemy zaspokoić pragnienie.

Uspokoiwszy w ten sposób swych towarzyszy, Hobson zadumał się smutnie.

Co będzie, gdy lody podtrzymujące wyspę, zaczną gwałtownie topnieć pod wpływem ciepłego prądu morza, gdy nie starczy wody na gaszenie pragnienia, a jednocześnie i na podtrzymanie wyspy?

Tymczasem również zwierzęta, nie znajdując słodkiej wody, zaczęły lizać lód.

Niektóre z nich, jak wilki, biegały niby szalone po wyspie, niedźwiedź spacerował niespokojnie, przeczuwając niebezpieczną sytuację i zbliżał się nieszkodliwie ku ludziom, jakby u nich szukając opieki.

Ptactwo również odlatywało pospiesznie na południe, co napełniało trwogą serca podróżnych.

Hobson kazał przenosić różne rzeczy na barkę, chcąc w każdej chwili być gotowym na ratowanie w niej swych towarzyszy.

Gdy naraz straszliwy wicher zaczął miotać falami, barka napełniała się wodą i trzeba było powymować to, co się włożyło.

Trzeba więc było jeszcze pozostać na lądzie, dopiero nazajutrz spodziewano się uspokojenia fal i postanowiono wyruszyć w drogę.

Noc była spokojna. Porucznik Hobson wstał zdecydowany na to, że zarządzi wyjazd barką ku lądowi.

Mgła była jeszcze gęsta, ale spośród niej ukazywało się już słońce.

Kiedy Hobson stanął nad brzegiem, niczego nie było można rozróżnić.

Gdy Paulina Barnett wraz z Magdaleną i kilkoma innymi osobami zbliżyła się do brzegu, mgła zaczęła ustępować, ale nie było jeszcze widać łodzi na brzegu.

Raptem mgła rozproszyła się całkowicie... Nie było nigdzie łodzi! Nie istniało jezioro. Niezmierzone przestworza morza ukazały się przed oczami stojących.

Hobson wydał krzyk rozpacz, a gdy zbliżyli się wszyscy, zrozumieli ogrom swego nieszczęścia. Wyspa zmieniła się w małą wysepkę! W kawał kruszącego się lodowca!...

Sześć siódmych całej przestrzeni Przylądka Bathurst oderwało się bez hałasu, bez poruszenia łądem, bez strąśnienia i pochłonięte zostały przez morze, a łódź popłynęła i znikła. Nieszczęśni, zawieszani nad przepaścią, gotową lada chwila ich pochłonąć, bez ratunku, bez wybawienia, oddali się straszliwej rozpacz.

Niektórzy żołnierze, jak szaleni, chcieli się rzucić do morza, ale Paulina Barnett wpadła między nich i nie dopuściła do tego. Niektórzy płakali.

Można sobie wyobrazić ich położenie! 21 osób na małym kawałku lodowca, który lada chwila ugnie się pod ich ciężarem i wrzuci do morza... życie ich mogło się liczyć najwyżej na dni kilka!

— Czy masz zawsze jeszcze nadzieję? — spytała pani Barnett Magdalenę.

— Zawsze! — odpowiedziała zapytana.

Przez całą noc nikt nie spał, nad ranem jeden z żołnierzy przybiegł z wieścią, że jakaś łódź, widocznie z poławiaczami wielorybów płynie po morzu.

Radość ogarnęła wszystkich, ale tylko na chwilę. Łódź bowiem, albo nie zauważyła i nie usłyszała ich wołań, albo też nie chciała spieszyć na pomoc, bojąc się lodowców i wyspy ruchomej, która mogłaby rozbić ich barcę.

Oddalili się na północny zachód i znikli.

Na ten widok jeden z żołnierzy zaczął śmiać się spazmatycznie, potem rzucił się całą postacią na ziemię. Biedak postradał zmysły!...

Wieczorem tego dnia rozległ się głośny trzask. Największa część wyspy oderwała się i pograżyła w morzu. Straszliwe krzyki padających do morza zwierząt rozległy się naokoło...

Wysepka była teraz płaskim lodowcem!

Na jednym głazie lodu, dwadzieścia jeden osób, może setka zwierząt, kilka psów i olbrzymi niedźwiedź przyczepiony pazurami do lodu!

Cóż za okropna noc. Nikt nie spał, nikt nie zapalał światła, czekali na swój koniec, przytuleni do siebie, zmartwiali...

Kilku kawałków mięsa, które pani Żolif podała do zjedzenia, nikt nie dotknął. Bo i po co?

Rano był trudny do zniesienia upał, zupełnie nie wiał wiatr, jak dalej tak potrwa, lodowa wysepka roztopi się i morze wszystkich pochłonie.

Około godziny 4 po południu jeden z żołnierzy podszedł do Pauliny Barnett i oznajmił:

— Chcę się utopić!

— Ach! — zawołała podróżniczka.

— Mówię pani, że chcę się utopić — odpowiedział na jej okrzyk, nieszczęśliwy. — Zastanowiłem się nad tym dobrze. Nie ma sposobu na ocalenie życia, wolę więc zginąć z własnej woli.

— Kellet — odpowiedziała na .o Paulina — ty tego nie zrobisz, prawda?

— Zrobię to, a że pani była zawsze dla nas dobra, nie chciałem umrzeć, bez powiedzenia pani o tym. Żegnaj panią!

I skierował się ku morzu. Przerazona uczepliła się ręki żołnierza, nie chcąc go puścić. Nadbiegli inni na jej wołania i zaczęli odciągać nieszczęśliwego.

Ale biedak trzymał się uparcie myśli o samobójstwie, kręcąc głową na wszelkie przekonywania.

— Kellecie — odezwała się Paulina Barnett, czy masz dla mnie życzliwość i przyjaźń?

— Mam — odparł spokojnie żołnierz.

— A więc, jeśli tak, to umrzemy razem, ale dopiero jutro.

— Proszę pani...

— Tak, mój dzielny żołnierzu, dziś jestem na to jeszcze nie przygotowana...

Żołnierz popatrzył na podróżniczkę i powiedziawszy z uległością. — Jutro... — poszedł na swoje miejsce.

Jeszcze jedna noc przeszła spokojnie, rano sierżant Long dostrzegł ogromną zmianę w wysepce, była coraz mniejsza i coraz cieńsza.

Paulina Barnett podeszła do porucznika.

— A więc dziś będzie koniec? — spytała.

— Tak proszę pani — odrzekł Hobson — dotrzyna pani danej Kelletowi obietnicy.

— Panie Hobson — odezwała się poważnie — czy spełniliśmy wszystko, co było w naszej mocy?

— Tak, pani.

— A więc, niech się dzieje wola Boża!

O godzinie szóstej wieczorem podniosła się ze swego miejsca wierna przyjaciółka Pauliny Barnett i wskazując widniejący z dala czarny punkt, zawołała: — Ziemia!...

Wszyscy zerwali się, jakby podrzuceni elektryczną iskrą.

Rzeczywiście, na południowym wschodzie, o jakieś dwanaście mil od lodowca, widniała ziemia.

Pozawieszano na maszcie płótna, futra, wszystko, co mogło powiewać i pchać tym powiewem lodowiec ku brzegom.

Wysepka rzeczywiście pędziła szybko, ale słychać było trzeszczenie lodu, urywanie się kawałków i lada chwila wszyscy mogli znaleźć się w morskich otmętach.

Ale teraz nie chciano nawet o tym myśleć.

Nadzieja zacierała trwogę. Wybawienie w postaci lądu widać było z daleka.

Krzyczano, wołano, gorączka opanowała wszystkich.

O wpół do ósmej lodowiec zbliżył się znacznie do lądu, ale też i zmniejszała się z każdą chwilą jego objętość.

Odpadały kawałki, unosząc oszalałe ze strachu zwierzęta, a ludzie znów zaczęli drzeć o życie.

Zasypywano malejące brzegi odrobiną pozostałej ziemi, aby się lody nie topiły, zasłaniano od słońca futrami.

Ale wszystko to było za mało. Lód topniał, robiły się szpary i zanim dopłyną do brzegu, padną ofiarą morza.

Noc zapadła, a ci nieszczęśliwi nie wiedzieli co począć, w jaki sposób zwiększyć szybkość lodowej wysepki.

Brzegi były już tylko o cztery mile, ale lód topniał...

— Dajmy sygnał! — zawołał Hobson — może nas usłyszą!

Ze wszystkiego co było pod ręką zrobiono stos i zapalono.

Ale lodowa wysepka pogrążała się tymczasem coraz bardziej w morze, pozostał już tylko niewielki pokład ziemi i piasku nad wodą w formie pagórka, na którym schronili się wszyscy podróżni, mała liczba pozostałych zwierząt, których jeszcze nie pochłonęło morze i jeden niedźwiedź wydający straszliwy ryk!

Nic nie wskazywało na to, żeby nieszczęśliwi byli zauważeni na lądzie, a tymczasem najwyżej za kwadrans zginą bez żadnego ratunku.

A za trzy godziny mogliby się dostać na brzeg i byliby uratowani... Ale co począć? Co począć?

Hobson stał zadumany, wreszcie odezwał się z rozpaczą:

— Ach! Gdyby był jakiś środek na utrzymanie w całości lodowca! Oddałbym za to swe życie!
Tak, swe życie!

W tej chwili usłyszał za sobą wyraźnie wymówione słowa:

— Jest na to środek!

Tomasz Black to powiedział, on, który do tej pory nie wymówił jednego słowa i który zdawał się nie zaliczać już do żyjących i ufających możliwości ratunku.

Hobson zbliżył się do astronoma:

— A ten środek? — zapytał.

— Dawać tu pompy! W nich ratunek!

Czy Tomasz Black oszalał? Brał widocznie w swoim obłędzie kawałek lodu za okręt!

— Zwariował! — odezwał się sierżant.

— Dawać pompy! — powtórzył astronom — napełnić rezerwuary powietrzem!

— Róbcie, co każe! — zawołała Paulina Barnett. Przytwierdzono pompy do zbiorników, których wierzch został natychmiast zamknięty.

Pompy działały prawidłowo i astronom prowadził je po brzegach lodowca tam, gdzie najbardziej topniał od słońca.

Ku podziwowi wszystkich, skutek był nadzwyczajny. Lód się zatrzymał, szczyby wyrównały się ani kropla wody nie spływała po bokach lodowca.

— Hurra! hurra! — zawołali nieszczęśni.

Męcząca to była praca, to pompowanie bez przerwy, ale nie brakowało rąk ani chęci!

— Ratujesz nas, panie Black! — odezwał się porucznik.

— Ależ, to nic prostszego! — odrzekł skromnie astronom. Wyrównał się lodowiec, powiększył, wszyscy wiedzieli, że za parę godzin będą wyratowani i radość napełniła serca.

Zbliżano się do lądu. Kiedy już tylko ćwierć mili brakowało do celu podróży niedźwiedź

wyskoczył, przepłynął do brzegu i znikł w ciemnościach.

W kilka minut potem lodowiec oparł się o ląd. Kilkoro zwierząt uciekło czym prędzej, podróżni zaś wyszli na brzeg, padli na kolana i dziękowali Bogu za tak cudowne ocalenie.

Zakończenie

Znaleźli się na jednej z Wysp Aleuckich, na Wyspie Blejnic.

Rybacy, którzy wybiegli do nich na ratunek, przyjęli gościnnie i dali odpoczynek w swych chatach.

Wkrótce potem Hobson ze swymi współtowarzyszami związał się z agentami angielskimi, którzy należeli do Kampanii Hudsona.

W niespełna sześć dni nasi znajomi znaleźli się w Nowym Archangielsku.

Tutaj, wszyscy ci przyjaciele, którzy byli złączeni między sobą wspólnym niebezpieczeństwem na lodowej wyspie, musi—leli się ze sobą rozstać, może na zawsze!

Hobson ze swymi towarzyszami musiał jechać do portu Zjednoczenia, do terytorium Kampanii, Paulina Barnett, Magdalena, Kalumah i Tomasz Black postanowili wracać do Europy przez San Francisco i Stany Zjednoczone.

Ale przed rozstaniem się z tymi ostatnimi, porucznik Hobson, wzruszonym głosem, mówił do Pauliny Barnett te oto słowa:

— Pani, bądź błogosławiona za wszystko dobro, któreś między nami czyniła! Byłaś naszą wiarą, naszym pocieszeniem, duszą naszego małego świata! Dziękuję pani w imieniu nas wszystkich!

Zawołano trzykrotnie: Hurra! Potem każdy z żołnierzy podchodził i ścisnął jej rękę.

Kobiety całowały ją ze wzruszeniem.

Co zaś do porucznika Hobsona, który uczuł do Pauliny Barnett dużo sympatii i miał dla niej wiele serdecznego uczucia, też zbliżywszy się do niej i uściskawszy rękę, zapytał:

— Czy to możliwe, żebyśmy się już nie zobaczyli?

— Nie, panie Hobson — odpowiedziała podróżniczka — to nie jest możliwe!

I jeśli pan nie przyjedzie do Europy, to ja będę szukać tu pana... a jeśli nie tutaj, to w nowej faktorii, którą pan pewnie wkrótce założy...

Gdy to mówiła, Tomasz Black, wybawca swych współtowarzyszy, odezwał się do nich wesoło:

— Tak, zobaczymy się... za dwadzieścia sześć lat...

Moi przyjaciele, nie udało mi się widzieć zaćmienia z 1860 roku, ale nie ominę sposobności zobaczenia tego w 1886 roku!

A więc za 26 lat, złożę pani i panu, mój dzielny poruczniku, wizytę na krańcach Morza Północnego.

I rozstali się ze łzą w oku, ale z umysłem wzbogaconym wiedzą i z nadzieją w sercu, że to spotkanie nie było ostatnie.

Koniec